Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1878. Rok I.

ŁOWIEC

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRZEDPŁATA
półroczna . złr. 2 50
roczna . . „ 5·—

Członkowie Towarzystwa odbierają bezpłatnie.

SPRAWY TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Dnia 27. Marca obradował Wydział Tow. łow. pod przewodnictwem JW. Oswalda Bartmańskiego. Obecnymi byli PP.: Dr. Ferdynand Kratter, Roman hr. Potocki, Dr. Zygmunt Rieger, Władysław Zontak.

Obrady poświęcone były głównie sprawom redakcyi „Łowca“ i oznaczeniu dla tego wydawnictwa potrzebnego funduszu. Ograniczono objętość Pisma na półtora arkusza, dozwalając rozszerzyć ją w razie konieczności do dwóch arkuszy. Zatwierdzono Komitet redakcyjny, złożony z członków Wydziału: JW. O. Bartmańskiego i Romana hr. Potockiego, a jako zastępców: Józ. hr. Drohojewskiego i Dra F. Krattera. Postanowiono zwołać rychło walne zgromadzenie członków Tow. łow. — jakoteż odbywać stale posiedzenia wydziałowe w trzecim tygodniu każdego miesiąca. Wreszcie przyjęto wniosek, motywowany w artykule wstępnym Nr. 4. „Łowca“, utworzenia komisyi, mającej się zająć zebraniem słownictwa łowieckiego, polecono redakcyi porozumieć się z wskazanemi osobami i zaprosić je do składu owej komisyi.

Wpisali się w poczet członków Tow. łow.:

Abrahamowicz Dawid
Brzostowski Michał
Czacki Józef
Hirsch Piotr
Łysakowski Jan
Orłowski Oktaw
Palmarin Wilhelm
Piegłowski Stanisław
Rafałowski Seweryn
Rożen Jan Mieczysław
Wieszkowski Jacek
Younga Włodzimierz
Zbyszewski Kazimierz.

PUSZCZA BIAŁOWIEŻSKA I ŻUBRY.

II. ŻUBRY.

Wspomnieliśmy o obelisku, postawionym na pamiątkę polowania, odbytego w puszczy w r. 1752 przez Augusta III. Podajemy opis jego, wyjęty z dzieła Brinckena, jako świadectwo, z jakim to przyborem ówczesne królewskie łowy się odbywały:

„Na kilka tygodni przed polowaniem przybyło do Białowieży wielu cudzoziemców ze strzelcami, z liczną psiarnią i całym przyrządem łowieckim w celu oznajomienia się z miejscowością. Zarząd miejscowy otrzymał rozkaz przewodniczenia im w poszukiwaniach i pomagania w urządzeniu polowania. Po bliższem rozpatrzeniu się na miejscu, obrano na ten cel ostęp w straży augustowskiej i zaczęto robić przygotowania konieczne, by łowy poszły pomyślnie. Zebrano około tysiąca włościan i obławę z mnóstwem psów; zapędzono zwierzynę do rzeczonego ostępu, później zaciągnięto sieci i otoczono płotem cały ostęp. Wszystkie te prace przygotowawcze odbyto z wielką wprawą i znajomością sztuki łowieckiej. Król jegomość wraz z swą małżonką i całym dworem, przybyli w wigilią polowania. W ogrodzeniu, nazwanem wielką kletnią albo królewskim ogrodem, środkiem którego płynie rzeka Jelarka, rozbito namioty na podniesieniu dla najjaśniejszych gości, zostawiając im przyjemność strzelania do przemykającej zwierzyny, którą przeszło tysiąc włościan ściśniętą obławą napędzało ku namiotowi. Dwóch bogato strojnych strzelców nabijało broń i podawało najjaśniejszemu państwu. Królowa jejmość podczas całego polowania zajęta była czytaniem książki, tylko jakby od niechcenia strzelała kiedy niekiedy, nie chybiając nigdy i zabiła dwudziestu żubrów, król jegomość również strzelał po mistrzowsku. Śmierć każdego żubra rażonego z namiotu, trąby dojeżdżaczów ogłaszały. Ku wieczorowi, gdy się już polowanie kończyło, strzelcy ułożyli w porządku zabitą zwierzynę, której było 57 sztuk, a najjaśniejsze państwo nakazało ważyć najokazalsze żubry i łosie; wreszcie rozdawszy większą część między zebranych włościan, wróciło do Białowieży.“

Stanisław August, lubo nie myśliwy, urządzał też polowania w puszczy, i zjeżdżał na nie.

Jarocki przytacza sprawozdanie z polowania odbytego w d. 15. i 16. Lutego 1830 na dwa żubry, które cesarz Mikołaj darował gabinetowi zoologicznemu w Warszawie:

„Gdy podług doniesień wezwanych strażników, najstarszy i najokazalszy tur, czyli pojedyńczo chodzący żubr samiec upatrzony był w północnej stronie straży Okólnickiej w bliskości wsi Białowieży, więc już w niedzielę wysłano tam obławę; my zaś w towarzystwie kilku znakomitszych z okolicy przybyłych obywateli wyruszyliśmy dopiero w poniedziałek rano. Po przy-

byciu naszem, między godziną trzecią a czwartą z południa obsaczono w cichości strzelcami i osocznikami gąszcz, w którym upatrzony żubr już od sześciu dni był pilnowany. Łańcuch strzelców pod dowództwem strażników, do których się kilku obywateli przyłączyło, posunął się w głąb gąszczu, i pierwszy strzał Tom Szpakowicza, przeszło 70-letniego starca, był mistrzowski. Gdy mimo to raniony żubr uchodzić zaczął, pan Engelhart, obywatel poprawił mu dwukrotnym strzałem. Tak więc położony został ten zwierz ogromny, między którego rogami dwóch miernych ludzi usiąść może, a który blisko 14 cetnarów mógł był ważyć.

Nazajutrz udaliśmy się w straż Augustowską, lecz ubicie tam drugiej sztuki nierównie więcej kosztowało zachodu, ponieważ wyraźnie oświadczyłem, że potrzebuję zubrzycy. Większe więc pół dnia strawiono na przeglądaniu z bliska jednego 13 sztuk liczącego stada żubrów, ażeby się zapewnić, które w niem są samce, a które samice. Dzień był niepogodny, śnieg gęsty z wiatrem padał ciągle. Gdy strzelcy i osoczniki pod okiem strażników trudnili się przeglądaniem stada, przepędzając je z miejsca na miejsce, my tymczasem schroniwszy się do pustej, na siano przeznaczonej szopy, grzaliśmy się przy ogniach, które przy niej na łące pozakładano. Dopiero po trzeciej godzinie z południa udaliśmy się na stanowiska około wielkiego gąszczu, do którego się przepędzaniem spłoszone żubry schroniły. Pomimo znacznej liczby ludzi uzbrojonych, gdyż samych strzelców było do stu, rozstawienie było dosyć rzadkie, bo długą linię od łąki wyciągnąć musiano Wkrótce po odezwaniu się obławy, wypadły żubry, lecz nie na linię strzelców, ale na stanowisko naszych sań i koni przy owej szopie, przy której były ogniska rozłożone, czem jeszcze bardziej popłoszone wróciły do kniei. Tam spotkawszy znowu łańcuch obławy, w największym pędzie zaczęły wybiegać na łąkę w tem miejscu, gdzie najrzadsze było osaczenie. Strzelec Bartł. Martysiuk przeszło na sto kroków wypalił do jednej sztuki. Łąka w tem miejscu była blisko na tysiąc kroków szeroka, widzieliśmy więc kierunek strzału, lecz sztuka trafiona po otrzymanym strzale jeszcze więcej niż sto kroków suwała przez największe zaspy śniegu zarówno ze zdrowemi. Nagle potem zwolniała w biegu, wyprzedziły ją zdrowe, lecz bieg jej ku przeciwległej gęstwinie był jeszcze dosyć szybki. W obawie, ażeby nam w tym ostępie czyli gąszczu nie zginęła, jedni pędzą za nią pieszo, drudzy rzucają się na sanki, ale przybywszy nad rzeczkę, środkiem łąki płynącą, (przez którą z taką łatwością przebiegły żubry), konie nam powięzgły w śniegu. Wyskakujemy więc z sanek, lecz śnieg blisko po pas głęboki nie dozwala spiesznego chodu. Tymczasem widzimy, że owa sztuka przyszedłszy pod mały wzgórek, na którym się gąszcz zaczyna, już tylko noga za nogą na niego wstępuje. Stanęło wreszcie na wzgórku to wspaniałe i pyszną brodą opatrzone zwierzę, obróciło się ku nam rogami, a stojąc i chwiejąc się, pada powoli na ziemię. Okrzyk radośny: „Już nasza“ rozległ się na całej linii. Niecierpliwość oglądania jej z bliska i przekonania się, czy rzeczywiście jest zubrzycą, przynagla wszystkich Zbliżamy się coraz bardziej. Mnogość gromadzących się ludzi obudza ją z omdlenia. Zrywa się ze strasznem burknieniem i rzuca się ku nam. Pan Głębocki strażnik chciał do niej strzelić, lecz fuzya mu odmówiła. A że właśnie byłem (Jarocki) na przeciw jej głowy, krzyk przestrachu wszczął się za mną, ale uskoczyć było niepodobieństwem, bo śnieg był zbyt głęboki. Już byłem bliski wraz z kilku innemi osobami dostania się jej na rogi lub pod nogi. Szczęściem dla nas, że siły zubrzycy nie odpowiedziały jej dzikości, padła po drugim skoku tuż przed nami. Tu dopiero przyniesiono ucięte drzewko, a założywszy jej na kark, siadło na końcach jego kilkunastu ludzi, i tak doduszono leżącą.“

W roku 1849 rozkazał cesarz Mikołaj urządzić polowanie w puszczy głównie w celu ujęcia żywo dwóch żubrów, przyrzeczonych królowej Wiktoryi dla zoologicznego ogrodu w Londynie. Inspektor cesarskich lasów w gubernii grodzieńskiej Dymitr Dolmatow, kierujący temi łowami, robił na dwóch wtedy schwytanych młodych żubrach spostrzeżenia, spisał je i umieścił w *Annals and magazine of natural history* na r. 1849. Łowy i badania swoje tak opisuje:

„Wkrótce po przybyciu mojem do białowieżskiej puszczy, dnia 20. Lipca 1846, gdzie oczekiwała mnie zebrana uprzednio obława składająca się z 300 ludzi osoczników i 30 strzelców z bronią tylko prochem nabitą, posłałem kilku leśników, celem odszukania żubrów. Po krótkim przeciągu czasu wysłani wrócili z wiadomością, że nad rzeką Hwoździą widzieli dość liczne stado żubrów z cielętami. Wyruszyliśmy więc do wskazanego ostępu, wraz z miejscowym leśniczym i 30 doświadczonymi strzelcami, prowadząc ze sobą kilka swór gończych. Głównem zadaniem naszej wycieczki było rozłączenie starych żubrów z cielętami. Dzień był prześliczny, w powietrzu panowała cisza, i tylko spiew ptasząt i szelest liści, potrąconych nogą przechodniów, przerywały poważne milczenie otaczającej nas puszczy. Wkrótce przedstawił się oczom naszym widok, który napróżno usiłowalibyśmy skreślić piórem niewprawnem. Na wyniosłej równinie, pokrytej tu i ówdzie samotnie stojącymi dębami i sosnami, leżało spokojnie stado żubrów; dokoła starych igrały swobodnie cielęta, to probując się na rogi, to wzajem uganiając się w swawolnych podskokach, lub niby spłoszone stawały wszystkie jak wryte, z podniesioną głową, rozdętemi nozdrzami i iskrzącem okiem, poglądając niespokojnie do koła. Jedne podbiegały do swoich matek, pieściły się z niemi i niepokoiły je, jakby pragnąc zmusić do powstania, by się posilić piersią matczyną, drugie w niebacznej wesołości drażniły starych żubrów, uderzając ich głową, lub jak się zdarzyło i odskakując lekkimi susami. Lecz nie długo trwało to wesele Złowieszczy odgłos trąb zagrzmiał wśród ciszy, a echa puszczy powtórzyły go wielokrotnie. Żubry w jednem mgnieniu oka zerwały się na nogi i niespokojnie poglądały w tę stronę, potem ze zwykłą tym zwierzętom taktyką. puszczając cielęta przed sobą, zwróciły się do ucieczki, a gniewna ich postać i połyskujące krwawym blaskiem oczy, nie wróżyły nic dobrego dla tych, co staną im na drodze. Wkrótce atoli wrzask obławy i strzały pomięszały szyki i zmusiły starych żubrów zwrócić się w przeciwną stronę, zostawując bez obrony wysunięte naprzód cielęta, przed któremi obława się rozstąpiła i później znowu zamknęła oddzielając je przez ten ruch od stada. Złapaliśmy tym sposobem dwóch samców, jednego w wieku 3, drugiego 15 miesięcy. Pierwszy mało się bronił, kilku strzelców bez wielkiego mozołu dało mu radę i związanego odwieziono do dworu. Z drugim nie tak szło łatwo, dziewięciu strzelców, co go pochwycili, odrzucił jednem szarpnięciem się daleko od siebie, a złamawszy szereg obławników i zdeptawszy kilka psów, rozjuszony i gniewny w jednej chwili znikł nam z oczu i zaledwie w kilka godzin, idąc za gonem psów, złapaliśmy go, zapędziwszy w oparzelisko. Dla złapania jeszcze czworga cieląt, urządziliśmy w lesie, w miejscu błotnistem i grząskiem, pewien rodzaj zagrody, do której wpędzone obławą stado, nie zdoła już się bronić i można natenczas wybierać wedle potrzeby i celu. Sposób ten bardziej się jeszcze zaleca ze względu na to, że nie męczy żubrów, co może być bardzo szkodliwem dla ich zdrowia, mianowicie podczas lata.

Z sześciu złowionych żubrzyków, najmłodszy miał zaledwie dwa dni. Przypuściliśmy go zaraz do krowy, której sierść kolorem zbliżoną była do sierści zubrzycy, cielak odrazu zaczął ssać, wbrew twierdzeniu Giliberta.

Nie długo jednak mogliśmy się cieszyć widokiem jego wzrostu, miał bowiem nabrzękłość na gardle, która powiększając się udusiła go szóstego dnia po pojmaniu.

Para trzymiesięcznych cieląt ssała także krowy; piąty żubrek, nieco starszy, łatwo się przyuczył pić mleko z naczynia. Pocieszny to był widok, gdy wylizawszy wraz z towarzyszami dojniczki od mleka, z największą skrupulatnością oblizywali sobie pyszczki. Cielak żubrowy potrzebuje mleka od dwóch krów zwyczajnych, co naprowadza na myśl jednakowego ustroju wymienia zubrzycy i bawolicy t. j. że chociaż małe co do objętości. znaczną mieści w sobie ilość mleka.

Po kilku dniach nasi wychowańcy stracili dzikość spojrzenia, przestali się strachać, a wrodzona młodocianemu wiekowi wesołość i rzeźkość wzięły górę. Gdyśmy je po raz pierwszy wypuścili na ogrodzony dziedziniec, poczęły igrać wesoło w szalonych susach i podskokach, zadziwiając patrzących nadzwyczajną swą zwinnością i lekkością. Stare krowy lękają się żubrów, ale cielęta prędko się z nimi oswajają, igrają razem, i próbują się spierać na rogi, przyczem zauważaliśmy fakt dosyć zadziwiający, że zubrzyki, jakby umyślnie ustępowały i dawały się pokonywać zwyczajnym cielętom.

Piętnastomiesięczny nasz jeniec przez długi czas zachował swą dzikość, byle się kto doń zbliżył, wnet oczy krwią mu nabiegały, trząsł głową, kopał racicami, rzucał się wściekle na przybysza, i zaledwie po dwóch miesiącach cierpliwego i oględnego oswajania, potrafiliśmy go trochę przygłaskać, przynajmniej o tyle, że się przyzwyczaił i przywiązał do swoich dozorców i że można go było zwolnić z uwięzi.

Dnia 22. października 1847 r. złowiono przypadkiem pięcioletnią cielną zubrzycę, niesłychanej dzikości, tak iż musieliśmy ją trzymać ciągle w zagrodzie, otoczonej wysoką palisadą. W tym wieku, jak się zdaje, dosyć byłoby trudno oswoić i ugłaskać żubra. Żubrzycę trzymaliśmy tylko do czasu ocielenia się, co nastąpiło 7. Maja; po części dostrzegliśmy niespodziewaną zmianę w jej usposobieniu, straciła bowiem wiele na swej dzikości, a co dziwniejsza, pozwalała bawić się z psami swemu cielęciu, wcale się na to nie srożąc.

Każdą razą, gdyśmy wypuszczali żubrow do obszernej zagrody, uderzający mieliśmy przykład, jak się w nich żywo przechowała pamięć swobodnego życia, śród rodzinnych ostępów Białowieży. Zaledwie wybiegną na otwarte miejsce, złudzone pozorem swobody, stają z dumnie podniesioną głową, z rozdętemi nozdrzami, jakby chwycić chciały aromat lasów dalekich, w kilku nieporównanych susach próbują zda się potęgi swych muszkułów, i wtórząc sobie radośnym urywanym rykiem, do głosu odległego wystrzału podobnym, igrają wesoło. Lecz nie długo trwa ta radość, bo byle się dalej posunęły w biegu, już ich zagroda powstrzymuje. Wtenczas to boleśnie patrzeć na zmianę, co się w całej postawie tych biednych zwierząt objawia, spoglądają tęsknem, niemal łzawem okiem na lasy odległe i zieleniejące się łany, jakby sobie przypominały urok straconej swobody; harda głowa spuszcza się ku ziemi, i powolnym, chwiejącym się krokiem same już wracają do chlewa. Młode żubrzyki karmiły się w dość odległych od siebie zagrodach. Cielęta, co ssały krowy, trzymały się krzepko i zdrowo, lecz dwa drugie żubrzyki, co jako starsze mlekiem krowiem z naczynia były karmione, znacznie ucierpiały na zdrowiu. Możnaby to, jak się zdaje, przypisać okoliczności, że mleko przynoszono z wioski odległej, gdyż później, gdyśmy sprowadzili dwie krowy do dworu, zdrowie wychowańców naszych znacznie się poprawiło.

Najstarszy, 15-miesięczny żubrek jadł owies z sieczką, siano, mianowicie z błotnych i leśnych sianożęci, młodą korę i liście osiny, grabu, jesionu, lipy, jarzębiny i t. p. Ten sam pokarm dawaliśmy później i innym cielętom. Podczas lata żubry piją wiele i często, bez wyboru rzeczną lub studzienną wodę, podczas zimy mniej daleko, i zwykle przekładają trochę ogrzaną wodę. Skoro im głód lub pragnienie dokucza, zwiastują o tem chrapaniem krótkiem i urywanem.

Żubrzyki hodowane w domu mając podostatkiem pokarmu, wolne od prześladowań owadów, ochronione dachem od zbytecznych chłodów i spiekoty, rosły daleko żwawiej, niż ich rówieśnicy w puszczy do tego stopnia, że prawie o dwa razy przenosiły ich wielkością. Ciekawą byłoby rzeczą, opierając się na tym widocznym wpływie hodowania domowego, określić, ileby ważył żubr swojsko pielęgnowany, skoro dziki, stary samiec waży od 30 do 45 pudów.

Podczas przewożenia żubrów lądem, na przestrzeni kilkudziesięciu mil, jedna para, przeznaczona do Petersburga, postawiona była w długiej rozgrodzonej klatce, głowami do siebie, klatka zaś była tak wąska, że żubry ledwie mogły się położyć swobodnie. Nowy rodzaj niewoli, wstrząśnienia wozu wielki wywarły wpływ na żubrów. Pierwszego dnia stały osłupiałe, jakby zdziwione tym stanem niezwykłym i nie przyjmowały pokarmu, lecz ze wszystkiem widać można się oswoić, bo już na drugi dzień zupełnie się uspokoiły i szczęśliwie całą podróż odbyły. Samiec i samica, przeznaczone do Londynu, zostały umieszczone w daleko obszerniejszych klatkach, otwartych u góry, co omal nie spowodowało nieszczęścia, gdyż żubr bez względu na 4 stopową wysokość swego więzienia, tylko co zeń nie wyskoczył, rzucał się przez całą drogę gwałtownie i ryczał gniewnie, zupełnie jak rozjuszony wół zwyczajny, co po raz pierwszy zdarzyło nam się słyszeć, gdyż, jak wiadomo, ryk zwyczajny zupełnie jest inny. Nie zawadzi tu wspomnieć, że po obławie, kiedyśmy połapali młode żubry, matki osierocone przebiegały puszczę rycząc boleśnie, wyskakiwały na drogę i pograniczne łany włościańskie, napadały na ludzi, wozy, konie i t. p. Ofiarą rozjuszenia tego padł włościanin z majętności p. Złodka. — W Grodnie umieściliśmy swych wychowańców na brzegu Niemna, w obszernej stodole, umyślnie na ten cel rozgrodzonej. Kiedym na drugi dzień kazał rozebrać przepierzenie stodoły, żubry rozpoczęły między sobą wsciekłą walkę, i zaledwo zdołano ich rozbroić. Wieczorem tegoż dnia, pomimo mocnej z dylów przegrody, żubry potrafiły ją podruzgotać, i znowu rzuciły się do walki zażartej, niedawno przerwanej. Podróż żubrów wodą może posłużyć za dowód łatwego ich ugłaskania, dozorcy bowiem musieli stać przy każdym i gładząc uspokajać podrażnienie przez huśtanie statku spowodowane, a gdy się który oddalił na chwilę, żubry zaczynały się rzucać wściekle, co zmusiło dozorców spać nawet w klatkach wraz ze swymi wychowańcami.“ —

Następnie podaje Dolmatów środki oswojenia żubrów, żywiąc przekonanie, iż one do pomyślnego celu doprowadzić mogą. — Przywiedliśmy wyżej niektóre wskazówki, świadczące, iż żubr od pierwszej młodości pielęgnowany ręką ludzką, da się przyswoić, a nawet, że krzyżowanie rasy jego z domową jest możliwe, czego dowodem mają być próby, dokonywane przez Walickiego. Gdy wszakże dotąd nie mamy *pewnych* dat, któreby postawionej teoryi nadały istotne praktyczne znaczenie, a owe próby Walickiego nie podane są pod sąd krytyki i nauki,

nie możemy kwestyi możliwości oswojenia żubra i krzyżowania ras stanowczo rozstrzygnąć. Tem bardziej kwestya ta pozostaje w zawieszeniu, że niektórzy badacze przyrody, a mianowicie znakomity Brehm stanowczo twierdzi, iż wszelkie usiłowania oswojenia żubra, a tem bardziej krzyżowania ras, będą zawsze bezskuteczne z powodu przyrodzonej dzikości żubra, która przełamać się nie da. Znane mu są dobrze wszelkie podania i próby oswajania żnbrów, przywodzi nawet podanie historyczne, jako Franciszek Lazar, magnat węgierski, zajechał w r. 1740 na sejm, odbywający się w Hermanstadzie, czterma zaprzężonymi żubrami; — wszelako, oparty na własnych badaniach i doświadczeniach, objawia silne prekonanie, że owe dowody i próby — kwestyi wcale nie rozstrzygają. Badania robił na żubrach, chowanych od pierwszej młodości w zwierzyńcach, i przyznaje, że młody żubr przywyka łatwo do niewoli, brata się chętnie z rówiennikami rasy domowej, przywiązuje się szczerze do człowieka, który go pielęgnuje — lecz gdy dorośnie i dojdzie do pełnych sił swoich — a chowają się żubry w zwierzyńcach i mnożą tak dobrze, a może uawet lepiej, jak na wolności — wtedy odzywa się w nim cała dzikość przyrodzona, tak, iż nawet stróż codzienny, z wielką ostrożnością około niego chodzić musi. —

Zwróćmy się jeszcze do żubra z czasów dawniejszych. — Tur i żubr byli mieszkańcami całej Europy i większej części Azyi. Znajdowano ich w dzisiejszej Bułgaryi w środkowej Europie, w Pomeranii, Saxonii, Prusiech, na Litwie, Mazowszu, Wołyniu, Podolu, Polesiu, Szląsku i Węgrzech, mianowicie w Siedmiogrodzie, o czem świadczą nazwy miejscowości i herby rodów magnackich węgierskich, jak hr. Was. Lazar. Wspominają tam jeszcze o turze w r. 1720 a nawet z końcem 18 w. W r. 1534 miały one, według podania pewnego niemieckiego rękopisu, wielkie szkody robić w kraju Szeklerów, w górach Gyergyo i napastować ludzi. Isthvan Majlath wezwał przeto panów węgierskich na wielkie łowy. — W sto lat później, r. 1643, pisze Jerzy Rakoczy, książe Siedmiogrodzki do Pawła Bornemissy, iż na cześć zawartego przymierza z Szwecyą i Francyą, urządzono dla posłów tych państw łowy na żubry w górach Gyergyo. — Schneeberger w Historyi starych Prus wspomina, iż w r. 1595 zabił książe Jan Zygmunt w okolicy Frydrychsburga ogromnego żubra, 5 łokci wysokości, 7 długości. Kantemir w opisie ziemi Mułtańskiej daje obraz żubra — ztamtąd to sprowadzono w początku tego wieku żubra olbrzymiej wielkości do zwierzyńca w Schoenbrun. — Starożytni i średniowieczni pisarze mówią o turach i żubrach, rozróżniając i opisując je. Dopiero w 17 wieku podają o dzikim wole, którego turem lub żubrem nazywają. Pierwszy miał zupełnie zaginąć — drugi powoli ustępował z ogromnych przestrzeni Europy i Azyi, i przechował się obecnie jedynie w puszczy Białowieżskiej i na Kaukazie. Zniknł żubr z innych lasów, bo go niebacznie płoszono i tępiono — byłby znikł i z puszczy litewskiej, gdyby rządy dawniej polskie i dzisiejsze nie wzięły go w troskliwą opiekę. Ustawy strzegły jego całości — a łowy były uregulowane i nie tępiły go. Hussovian, Kromer, Herberstein, Gessner dają nam obraz, jak to dawniej odbywały się łowy na owego zwierza. W starożytności i wiekach średnich polowano konno lub pieszo. Myśliwy wychodząc na podobne łowy musiał się uzbroić w przytomność, zręczność i siłę. Rozstawiano łowców wzdłuż ostępu, uzbrojonych w oszczepy, poza drzewami i zawałami. Gdy psy lub ludzie napędzili żubra na myśliwego, wówczas wysuwał się on z zasadzki, a rozjuszony zwierz rzucał się nań wściekle, myśliwy chronił się, i z zasadzki zadawał mu cios oszczepem, podczas gdy inny wszczętym hałasem i drażnieniem zwabiał go ku sobie, i w dogodnej chwili również oszczepem go raził — póki opadnięty ze wszystkich stron zwierz ranami okryty i wysilony nie wyzionął ducha. W razie zbyt gwałtownej napaści rzucał łowiec na łeb żubra płachtę czerwoną, sam zaś w czasie wściekłego szamotania się zwierzęcia ratował się ucieczką.

Na Podolu, — opowiada Gessner — gdzie mniej było lasów, a więcej łąk i odkrytych łanów, polowano na żubry konno. Kilkudziesięciu jeźdźców otaczało stado żubrów, i z krzykiem pędziło je przed sobą, ściskając szeregi. Skoro który z żubrów oddzielił się od stada, wnet doń przyskakiwał jeden z łowców, raził go dzidą i uciekał, a kiedy żubr, zajęty pogonią, z okiem wlepionem w jeden przedmiot, nie mógł zwracać baczenia na to, co się koło niego dzieje, padał pod ciosami goniących za nim jeźdźców.

Od czasu upowszechnienia palnej broni, zmienił się tryb łowów — pocisk ognisty zastępuje miejsce oszczepu i dzidy — a łowy na dzikiego zwierza mniej jest rycerskiem — lubo zawsze prawdziwie męskiem igrzyskiem. — To też łowy panujących na żubry — możnaby śmiało porównać z wyprawą wojenną mniejszych rozmiarów, w której nie tylko najdostojniejsi uczestnicy, ale też tysiące ludzi, biorą czynny udział. Wspomnieliśmy już o łowach królewskich na żubry w puszczy Białowieżskiej, a mianowicie o owych świetnych Augusta III. Nie mniej świetne odbyły się w r. 1860, na których cesarz Aleksander ubił 6 starych żubrów, 2 łosie, 2 daniele, 3 rogacze, 4 wilki, borsuka, lisa i zająca. Książe Wejmarski i książęta pruscy Karol i Albert położyli również po kilka żubrów.

Owóż wszystko — cośmy dla czytelników naszych najstaranniej z licznych podań o żubrach zebrać mogli. — Dodamy w końcu liczby żubrów w puszczy Białowieżskiej z różnych lat. — W r. 1820 było ich tam 711; 1830 — 771; 1831 — 657; 1857 — 1899 (liczba ta wszakże bardzo wątpliwa); 1863 — 874. — W obecnej chwili zapewne liczba ich zbliżoną jest do powyższych.

Nakoniec wyjaśnić musimy rzecz nader ważną. Wspomnieliśmy, iż żubr obecnie ma stałą siedzibę jedynie w puszczy Białowieżskiej i na *Kaukazie.* Tożsamość żubra litewskiego i kaukazkiego była wątpliwą aż do r. 1866, w którym sprowadzono z puszczy żubra do zwierzyńca w Moskwie. W celu sprawdzenia tożsamości żubra z dzikim wołem kaukazkim polecił w. x. Michał dostawić go ztamtąd. Mieszkaniec wsi Kuwińsk w okręgu Zeleńczuk, Adjew spostrzegłszy świeży ślad stada liczącego około 50 sztuk, podpełzł pod nie, i jednym strzałem powalił matkę z cielęciem. Rozprysło się całe stado — pozostała tylko zdobycz. Lecz po chwili dał się słyszeć żałośny głos zwierzęcy — spostrzeżono w gąszczu stojące cielę żubrze, szukające matki. Mimo oporu pochwycono je — i sprowadzono do Moskwy. — Dokładne badanie i porównanie okazały najzupełniejszą tożsamość owych zwierząt, tak ogromną przestrzenią od siebie oddzielonych.

Prócz wymienionych w tekscie rozprawy pisarzów starożytnych i późniejszych — pisali w nowszych czasach o puszczy Białowieżskiej i żubrach:

v. Baer. Nochmalige Untersuchung der Frage, ob in Europa in historischen Zeiten zwei Arten von wilden Stieren lebten. Petersburg 1838.

Bojanus. De uro nostrate (Nova acta academiae Caes. Leop. Carol. 1825).

Brehm. Thierleben. Leipzig. 1877.

Brincken. Memoire descriptif sur la foret de Białowieża. Vars. 1826.
Buffon. Oeuvres — p. Cuvier. Paris 1826.
Dolmatow. O żubrze i polowaniu na niego z angiels. (Przybylski Tygod. ill. 1863. Waga Bibl. Warsz. 1849).
Eichwald. Naturhistorische Skizze von Lithauen, Volhynien und Podolien. Vilna 1830.
Freytag C. Dr. Der europäische Wisent. (Der Waidmann 1877).
Jarocki. O puszczy Białowieżskiej i o celniejszych w niej zwierzętach. (Pisma wierszem i prozą. Warsz. 1830).
Jarocki. Żubr i tur. (Przyjaciel ludu. 1839).
Lipiński. O turach w Mazowszu. (Bibl. Warsz. 1843).
Pol. Puszcze litewskie. (Bibl. Ossol. 1847).
Przybylski. Puszcza Białowieżska i żubry. (Tyg. illustr. 1863).
Pusch. Ueber zwei fossile Ochsenschädel, nebst einem Versuch zur Vervollständigung der Geschichte des europ. Auerochsen. Stuttgart 1837.
Pusch. Neue Beiträge zur Erläuterung und endlichen Erledigung der Streitfrage über Tur und Żubr. (Archiv für Naturgesch. v. Wiegmann. 1840).
S. H. P. Żubr litewski. (Przyj. ludu 1835).
Waga. O turach i żubrach. (Bibl. Warsz. 1843).
Weissenborn. O tożsamości tura i żubra, z niem. (Bibl. Warsz. 1848).
Wojcicki. Puszcza Białowieżska. (Encyklop. Orgelbranda).
Z pod Białowieżskiej puszczy. (Czas 1860).

Pisma te były podwaliną, na której oparliśmy naszą pracę, podjętą w celu obznajomienia czytelników „Łowca“ z tym nader ciekawym i zajmującym przedmiotem. Zwięzłość opisu czyni uszczerbek rzeczy samej, ramy Pisma nie pozwalały bardziej się rozszerzyć, sądzimy wszakże, iż i takie treściwe opisanie do zamierzonego celu doprowadzić może.

J. Łoziński.

TYDZIEŃ POLESKI

przez

A. BARTHELSA.

XVIII.

Oj nie masz, nie masz, jak Litwa nasza!
Co tam! nie jeden jakieś rozgłasza
Pochwały innych krajów i ziemi
Niech sobie żyją, Pan Bóg tam z niemi!
Byle chleb zdrowy, las i zwierzyna
I spokój święty, — dość dla Litwina!
W Koronie pszenne mają być łany,
Wołyń prześlicznie zabudowany,
Na Ukrainie stepów obszary,
A na Podolu zboża bez miary,
Ale powiedzcie, jak na spowiedzi,
Panowie moi, macie niedźwiedzi?
Choć u was mądre robią się rzeczy,
Macie oświatę, nikt wam nie przeczy,
Cukier robicie z buraków, z chrzanu,
Co tylko wolno wielkiemu panu.
Darmo Litwinem tak pomiatacie
Moi panowie, głuszców nie macie!
Machiny u was co krok parowe,
I wynalazki co chwila nowe,
Siejecie mądre po polach trawy,
Płodów krajowych macie wystawy.
Ale powiedzieć raczcie łaskawie,
Dużo jarząbków macie w Warszawie?
Owce słyszałem macie prześliczne,
Konie kosztowne, krowy tak mleczne,
Że w dzień wam dają pięć garncy mleka,
Ale i Litwin też nie narzeka;
Bo gdy tak każdy z was kraj swój głosi,
Ja się was pytam: Macie wy łosi?
U was wiem o tem spławniejsze rzeki,
Pewniejsze drogi i hipoteki,
Są towarzystwa jakieś tam sławne,
I bardzo mądre listy zastawne,
Każdy tam mądry i każdy dobry,
Ale Panowie... macie wy bobry?
Handel tam u was na wielką skalę,
Wybyt produktów nie zgorszy wcale,
Macie stosunki i kredyt macie,
Handlowe spółki zręcznie składacie,
Znane wam szefle, znane wam łaszty,
Ale panowie... macie wy maszty? *)
Na wyższym stopniu u was rolnictwo,
I doskonalsze jest gorzelnictwo,
Macie żniwiarki, macie młocarnie,
I pistoryusze i dystylarnie,
Słodkie likiery w nich wyrabiacie; —
Ale panowie, starki nie macie!
Lipcu nie macie, lnu nie siejecie,
Masło litewskie wciąż kupujecie,
Chmiel nasz lubicie, lubicie grzyby,
Z Litwy wam więdłe przychodzą ryby,
Bo choć jesiotry, łososie macie,
Ale cóż z tego — wiunów nie znacie!
Komu nie znane niedźwiedzie łapy,
Ogon bobrowy i łosie chrapy,
I kto nie strzelał, jak nasze zuchy,
Głuszca na tokach i do maruchy,
Może być człowiek pełen wziętości —
Litwin mu pewno nie pozazdrości!

XIX.

I prawda, bo tam gdzie są lasy i obszary,
Czego człeku zabraknie — znajdzie się grunt stary,
Na którym jak zasiejesz poczciwego żyta,
I na sprzedaż coś będzie i podjesz do syta.
Możesz mieć owies nie zły, doskonałą hreczkę,
Bliżej domu groch będzie, jęczmienia troszeczkę,
Kartofelek morg drugi, podprawiwszy ziemię,
A ogród wyrobiony w dobrym czarnoziemie
Da warzywa po uszy, włoszczyzny dostatek,
Jaką taką gruszeczkę, jabłko naostatek,
Tak, że człek niewybredny i z rachunkiem panie
Mało co dokupiwszy rok wyżyć jest w stanie
Spokojnie i dostatnio, nie znając, co bieda,
I nie zazdroszcząc drugim; a czego grunt nie da,
Nadgrodzi las poczciwy grzybkiem i jagódką,
Brusem, wańczosem,**) klepką, słowem mówiąc krótko,
Niech sobie, kto chce, ziemi swej piękność rozgłasza,

*) Masztowe drzewo, tak zwane szpiry i maszty.
**) *Brus*, belka towarna sosnowa, *wańczos*, brus dębowy.

Nie masz, nie masz, powtarzam, jak ta Litwa nasza!
I gdy każdemu chlubnie Ojczyzny być synem,
Ja tak Bogu dziękuję, że jestem Litwinem,
Że mi się zrość pozwolił z tym ludem i krajem,
Całem sercem i duszą, mową i zwyczajem.
Oj! żeby tej krainie i dla ludu tego
Nieco światlejszej doli, Nieba łaskawszego!

XX.

Ale gdzież nas odwiodła z głównego przedmiotu
Myśl o Litwie poczciwej, tej zacnej krainie,
Co wynagradza hojnie każdą kroplę potu
Pracy człeka, choć mlekiem i miodem nie płynie.
— Powróćmy do kurenia, kędy przy ognisku
Gasnącem już powoli, pośród nocne cisze
Dzielnych sześciu Litwinów chrapie po myśliwsku
Tym snem, co sprawiedliwych jak dzieci kołysze,
Nadgradzając im nieraz dotkliwe niezmiernie,
Rzeczywistego życia kłopoty i ciernie —
To też, jak dzieci jakie, przez sen coś tam gwarzą,
Żaden snem niespokojnym i przykrym nie zdradzi
Mąk duszy, nienawiścią, krzywdą lub potwarzą
Bliźniego skołatanej, ale wszyscy radzi
I z siebie i z wszystkiego — tak spią sobie szczerze,
I tak zabawnie marzą, aż śmiech pusty bierze.
Pan Jan o jakiej'ś Zosi po cichu coś bredzi:
—„Czy panna Zofija prędko?"... i na tem przerywa,
Czeka widać od Zosi miłej odpowiedzi,
A wiem, o co rzecz chodzi, ładna czarnobrewa
Ta Zosia! a u Jana serce jeszcze młode
Przemówiło, a poszczęść że im Panie Boże!
Daj im tylko wytrwałość, rozsądek i zgodę,
A poczciwe stadełko w sąsiedztwie być może.—
Ignacy, ojciec Zosi, tej samej, coś we śnie
Nie marzy o miłostkach ładnej swej córeczki,
Lecz przewrócił się na bok, i jakby boleśnie
Przebąknął: — „Ukradł panie, ukradł cztery beczki" —
I to wiem — o pszenicę proces nieskończony
Z żydem i ekonomem,.. lecz Paweł coś plecie:
— „Andziu ty moja złota" — patrzcie, ten do żony
W komplementa uderzył, co na to powiecie...
Żonaty od lat czterech, i jeszcze mu złota,
Szczęśliwy! oj szczęśliwy Pawełek niecnota!
Aż tu razem Piotr wrzeszczy: „Ho! ho! Izabelko!
Pilnuj głuszca! Elżusiu! spudłuje, spudłuje!
Poczciwy Piotr i przez sen z zajadłością wielką,
Zamiast wyżła z córkami na głuszce poluje...
I ocyka się razem gderała nasz stary,
Wybałusza dwie ślepie, krągłe, jak talary —
—Gdzie głuszec?— mnie śmiech pusty ledwie nie udusi,
— Jest, zabity, powiadam, w torbie u Elżusi...
— Licho wie co — i znowu bach na swe posłanie,
Bo mu wstyd pustych marzeń, ale ja do niego:
— Panie Pietrze... na potem odłóż polowanie
Z córeczkami, a teraz dość już spania tego,
Budź wszystkich, bo już druga, czas nam ruszać w drogę,
I ja tobie pobudzić leniuchów pomogę,
Masz głuszce zasadzone, do kompanii Jana,
Takiego nie zasypiać myśliwemu rana.

XXI.

Ciemno było zupełnie, gdyśmy na polance
Zasiedli w budkach naszych, nie ma już księżyca,
I tylko kilka gwiazdek zdala, jak kagańce
Z obszernego sklepienia zwieszone, przyświeca —
Nad bielejącym wschodem piękna, zawsze nowa
Wenus czystem swem światłem jaśnieje nad inne,
Gwiazda nasza poranna, gwiazd wszystkich królowa,
O której tyle mówią pieśni nasze gminne,
Bo ona rankiem, nocą i o zmroku szarym
Niepewnemu na puszczy swej drogi strzelcowi
Przewodnikiem najlepszym, a nadto zegarem
Wskazującym godziny naszemu ludowi.—
Ciemno, cicho dokoła — mija pół godziny,
Chłodno, deszczyk przejmuje, i sen klei oczy,
By nie zasnąć, człek patrzy przez budki szczeliny,
Czy tam co ciekawego na polu nie zoczy,
Ale nic prócz ciemności... w tem, jak stado duchów,
Na szabat łysogórski dążących wesoło,
Jak puszczona na wolność z piekielnych łańcuchów
Potępieńców czereda, nalatuje w koło
Z ponurym skrzydeł świstem i strasznym łopotem
Ciecieruków bez liku, i cała gromada
Jakimś w pośród ciemności fantastycznym lotem
W około mnie kolejno na pola zasiada,
Przez kilka minut pewnie, nie słychać nic zgoła,
Tylko ruch jakiś dziwny w powietrzu nademną,
Dziki szum silnych skrzydeł, świszczących do koła,
Tem przeraźliwszy jeszcze, że dokoła ciemno...
I znów cicho czas jakiś, milczenie jak w grobie --
Raptem, czuch, szu, przeciągłe jedno, drugie, trzecie —
Znów cichość, i znów czuch, szu, dobrze myślę sobie,
Niezadługo bełkotać Asaństwo zaczniecie —
Otóż będzie muzyka! — Jakoż poczekawszy,
Bełkot jeden urwany, potem dłuższy nieco,
Potem już dokończony, a dobrze przyjrzawszy,
Już i pióra w ciemności białe troche świecą,
Ale coraz to lepiej, głosów coraz więcej,
Coraz więcej hałasu a gwaru, jak w beczce,
Zdaje się jakich czartów parę set tysięcy
Zeszło się dla harcówki na tej polaneczce —
Wypatruję na polu, chociaż jeszcze ciemno
Do strzelania, lecz widać cietrzewi gromadę
W rozmaitych postawach,.. jeden tuż przedemną
Najgłośniejszą wyprawia dla mnie serenadę,
To bełkocze, poziomo wyciągnąwszy szyję,
To podniesie łeb w górę przy czuch szu grożącem,
To pach, pach, parrr... niezgrabne entrechat wybija
W skoku jakimś chełpliwym i wyzywającym;
Słowem czysta pociecha, a każden zajęty
Sam sobą, tak wyłącznie, tak zapamiętale,
Że widzisz najwyraźniej egoizm przeklęty,
Egoizm ów człowieczy, choć na mniejszą skalę,
Kierujący tem ptactwem, do tejże zawiści,
Tejże fanfaronady, tejże próżnej chluby,
Tejże zapamiętale głupiej nienawiści,
Tegoż spółzawodnictwa i tej samej zguby...
Istni ludzie! i istny obraz tego świata,
Z jego cietrzewiem głupstwem, ciecieruczą złością,
I na tej polaneczce ciasnej masz do kata,
Obraz wierny tej nędzy, co zwie się ludzkością!
Obraz tem mniej pochlebny, że tych intryg ptaszych
Powód jest w namiętności dla ładnych cieciorek, —
Kiedy zacietrzewienia i wszystkich głupstw naszych
Powodem zawsze chciwość, celem zawsze worek —

Lecz dość filozofować — słoneczko już wschodzi,
I oblewa swem światłem okolicę całą,
Ale choć dobrze widno, strzelać się nie godzi,
I wtrawiony myśliwy dopiero się śmiało
Do strzelania zabiera, gdy już słońce w górę
Wzbija się, bo ptak wtedy nie widzi już strzału
I ognia, lecz spokojnie spojrzy w dymu chmurę,
Zastanowi się chwilkę i znów gra pomału, —
Że jeden, drugi kompan tuż leżą bez duchu,
Nie wzbudza to w nim żadnych bolesnych reflexyi,
At! powiada sam sobie, widząc ich bez ruchu,
Muszą to być ataki tylko apoplexyi...
Czekam więc i wybieram, którzy z kawalerów
Najpierwsi w łeb powinni dostać, podług mety
I prawideł myśliwskich,... ot Wasan z manierów
Wykwintnych już mnie znany, nasamprzód niestety
Zginąć musisz... ty drugi, pewnie najgroźniejszy
Z współzawodników jego, pójdziesz za rywalem,
Nakoniec ty, co skaczesz, w ruchach swych skromniejszy,
Świat ten opuścić musisz z serdecznym mym żalem.
W taniec zatem panowie... pierwszy padł bez duszy
Sąsiad mój ukochany... hukiem zatrwożone
Ciecieruki zamilkły,... nastawiły uszy,
Ale ciszą głęboką wnet uspokojone,
Znów tokować zaczęły... bac! poległ i drugi —
Znowu chwila milczenia, i znów pełno zgiełku,
Nabiłem cicho strzelbę, i trzeci jak długi
Padł zabity mym strzałem, zaraz po Pawełku,
Który także wypalił.. tu już dłuższa cisza,
Bo dwa strzały raz po raz przeraziły nieco
Zalotników gromadę, — wszystko się ucisza, —
A mnie strach, że się porwą i z wichrem polecą...
Ale próżna obawa, poszła znów pociecha,
Czmychanie, bełkotanie, tańce i podskoki —
A my z Pawełkiem walim, serce się uśmiecha —
Tylko patrzaj, nabijaj, pal na wszystkie boki,
Pogłupieli do reszty, zwłaszcza gdy cieciorki
Nalatując w milczeniu, pośród nich zaczęły
Kręcić się, kokietować, z siebie zbierać wzorki,
Jakby na wielkim świecie wychowanie wzięły,
Żadnej z nich ani w głowie romanse, broń Boże,
Ot, tak tu przeleciały z lasu sąsiedniego
Dla świeżego powietrza, dla rozrywki może,
Ale nigdy dla tego, albo też owego...
To też szukając niby uważnie po ziemi
Czegoś, co nie zgubiły, kręcą się i wiją,
Ani dbając, że głupie samce się za niemi
Rozszalały, i o nie kłócą się i biją.
Słowo w słowo -— jak w świecie! a ja walę, walę,
Pawełek wali także — nabojów nie stanie,
Tak gęsto i bez przerwy strzał idzie po strzale,
O bodaj to i w niebie takie polowanie!
Nakoniec, gdym jednego strzelił za daleko,
Ten narobił popłochu — i moje rarogi
Ani się obejrzawszy za biednym kaleką,
Fugas chrustas, i wszystkie do jednego — w nogi.
Wyłazimy więc z budek zbierać nasze łupy,
Przebiegamy plac boju trupami zasłany —
I piętnaście cietrzewi zbieramy do kupy —
Wszystko stare, poważne, czarne jak cygany...
Co tu robić, jak zabrać towarzystwo całe?
Do lasu — wyrębujem żerdź kilkołokciową —
I siedem par cietrzewi w pół godziny małe
Zdobią żerdź i nas samych sławą coraz nową...
Z tym szacownym ciężarem dążym do kurenia.
Wita nas okrzyk głośny zgromadzonych braci!
A dowód ich wielkiego dla nas uwielbienia,
Całego ranka trudy stokrotnie nam płaci.
I oni nie bez chwały — wiszące na drzewie
Cztery potężne głuszce świadczą o zwycięstwie,
Jeden zgładzon nalotem, trzy zabite w spiewie,
Powątpiewać nie dają o każdego męstwie —
To też wszyscy weseli, nawet Piotr nie gderze,
Opowiada z zapałem i postawą zucha
Bohaterskie swe czyny, każdy mu rad szczerze,
Chociaż swoim zwyczajem żaden go nie słucha...
I znów zwykłą koleją na plac pogrzebowy
Pełen garnek jaglanej ze szwedami kaszy —
Na zakończenie kawałek kiełbasy łokciowej —
Morfeusz sypnął makiem po gromadce naszej,
I wkrótce w głuchym lesie słychać tylko panie
Śród spiewu małych ptasząt, szlacheckie chrapanie.

XXII.

Wczora ładniutka nas pani Pawłowa
Smacznym objadkiem zasiliła głodnych,
Dziś znów poczciwa pani Ignacowa,
Wspomniawszy sobie wpośród chwil swobodnych,
Że gdzieś tam w puszczy jej biedny Ignacy,
Anachorety pewnie wiedzie życie
W modlitwie, postach i przykładnej pracy,
I że być głodnym musi nieodbicie,
Naładowała wózek dobrej miary
Pożądanymi dla nas wiktuały,
Włożyła wódki baryłeczkę starej,
Co więcej, piwa antałek nie mały,
Chcąc zaś skorzystać z tej okoliczności,
By się przypomnieć czyjej's tam pamięci,
Ładniutka Zosia, extrakt przebiegłości,
Owoc swej pracy papie swemu święci,
I w wóz rozlicznych łakoci nakłada,
Które Jaś lubi, choć tatko nie jada —
Poczciwy chłopak, Jaś jak ujrzał króbkę *)
Poznał w nadpisie rączkę ukochaną —
Widząc jej uczuć nową dla się próbkę,
(Bo choć tam było z wierzchu napisano:
Dla kochanego Papy, — ale cała
Rzecz się do niego więcej stosowała)
Sczerwieniał cały aż po same uszy,
I wyraz takiej poczciwej radości
Wystąpił na twarz z głębi samej duszy,
Żem postanowił zbadać jegomości
Dziś przed noclegiem, i zakończyć troski
Dwojga serc młodych, przy pomocy Boskiej.
Tymczasem obiad przy ogniu przygrzany
Je się z rozkoszą, kwasek z prosięciny,
Indyk potężny, leszcz faszerowany,
I pysznej, panie, kawał wieprzowiny, —
Który witamy wdzięczności odgłosem —
Z *wereszczakowym*, **) zawiesistym sosem!

---

*) *Króbka* z łubu czyli z kory lipowej paczek, w którym się, mieszczą zwykle podróżne wiktuały.

**) Sos *wereszczakowy* używany do kiełbas, schabów i polędwicy na kwasie burakowym.

Sardanapalska słowem uczta panie!
Zwłaszcza, gdy w końcu smakowite wety,
Prześlicznej Zosi zachód i staranie, —
Pod nosem Jasia sprzątniono niestety!
Patrząc na niego, widziałem na twarzy
Pogodę szczęścia i to przekonanie,
Że wszystkich sławnych na ziemi kucharzy
Talent, nie idzie z Zosią w porównanie —
Pączki zajadał w zachwycie głębokim,
Andruty spożył w najwyższym zapale,
Ze czcią się dotknął leguminy z sokiem,
Makaroników nie śmiał dotknąć wcale,
Bo równie syty, ile zakochany,
Patrzał w nie tylko, jak w obraz kochanej! —
Znikł obiad wreszcie — przy szklaneczce piwa.
Z fajeczką w zębach upływa czas chyży,
I zacna szlachta sobie wypoczywa,
Czekając, póki słońce się nie zniży,
By ruszyć znowu podług umowionych
Na prędce planów, w różne świata strony.
Lecz mimo brzuchów srodze wypełnionych,
Plan był jednakże z myślą ułożony, —
Rzecz mi szła o to, abym mógł nieznacznie,
Z poczciwym chłopcem sam na sam pomówić
O ładnej Zosi, — krążąc więc dziwacznie,
Zdołałem jego na kaczki namówić,
Których par kilka okiem mem przebiegłem,
Ztąd niedaleko na *łużku* *) dostrzegłem. —
Ignacy z Rochem na słonki ruszają,
A Paweł z Piotrem, że ten mocno głuchy,
A głuszców chciwy, więc razem iść mają,
Na nowe miejsce, w puszczę na podsłuchy.
Tak więc, co główną myśl moją stanowi,
Sekret dobędę z pod serca Jasiowi. (C. d. n.)

USTĘP Z LISTU MYŚLIWEGO DO PRZYJACIELA.

Pytasz mnie przyjacielu! czy będę gotowy
Z tobą dzielić w tym roku w naszych górach łowy?
Na myśl samą już serce bije, że aż słyszę,
Dzięki przyjm za twą pamięć — licz jak na Zawiszę!
Bo prawdziwi myśliwi — śród naszej młodzieży —
To jakby żubry ostatnie w lasach Białowieży,
To dziatwa bezpotomna ze szkoły Wojskiego,
To rycerze kresowi myśliwstwa polskiego!
My podobnoś ostatni jeszcze strzelcy czyści,
A już rzadcy — jak gdyby Napoleoniści!
A drużyna, co po nas zostanie na glebie,
Skruszy tarczę łowiectwa na naszym pogrzebie, —
Tam nas spiewem ostatnim trąbki pożegnają,
I ostatni raz wyciem ogary zagrają.
O! bo znam tych myśliwych, co się mierzą z nami,
A co się nazywają: *a la mode* strzelcami —
Jak z żurnalu ubrani w kniei piją, jedzą,
Potem na stanowiskach na krzesełkach siedzą —
Z tyłu strzelec z Mariabrunn służy za suflera —
Na nosie pince-nez, w ręce Lefaucheux Springera —
U nóg czeski pies siedzi — Curaçao w manierce —
A po miocie — zwierzynę schowasz w tabakierce.
Pójść na błota, to dla nich czysta czasu strata,
Bo trza nogi zamaczać — a kszyk prędko lata...
A więc idą za radą Mariabrunnera
(Tego, co to im w kniei służy za suflera)
I co roku na wiosnę, od Kwietnia do Maja,
Gdzieś z pod Pragi bażancie sprowadzają jaja,
I z tych jaj w świat prowadzi na lisów karmienie,
Guwernantka indyczka — młode pokolenie.
I podolska nielepsza myśliwska drużyna!
Bajkę o siedmiu szwabach tak mi przypomina.
Step się z nich pewno śmieje — step bezbrzeżny, cichy.—
Co też oni zrobili z naszej Pantalichy?
Rowy kopią, i bagna wszystkie osuszają,
Kszyki nam wypłoszyli, a siana nie mają, —
Sprowadzili te jakieś bigle obrzydliwe,
W Anglii mięsem karmione — tu wiecznie parszywe,
I z tą psiarnią na polach Strusowa, Buczacza,
Chcą gonić po angielsku stepowego gracza.
A ich konie — to same Belstony, Riwery,
Devilshildy, Vanstromy albo Confortery,
I pędzą za zającem nieraz przez godzinę,
Tratując bez litości chłopską oziminę,
Aż koń ustał — pies zasłabł — jeździec potłukł kości, —
I zwykle tylko zając zostaje w całości.
Gdyby Wojski ich widział — cóżby myślał sobie? —
Na klucz by się przed nimi pewno zamknął w grobie!! —

S.

Kilka słów o Polesiu, Poleszukach i o polowaniu

przez

A. BARTHELSA.

Jeżeli w Królestwie Polskiem i w Galicyi uskarzają się dobrzy myśliwi na brak praw przeciw przekroczeniom myśliwskim, nieudolność exekucyi tych nawet, jakie exystują, nieposzanowanie cudzej własności i nieprzestrzeganie zasad dobrze zrozumianego łowiectwa, to cóż mówić o biednej Litwie, gdzie nie ma praw żadnych, żadnej opieki nad zwierzyną, a wszyscy są strzelcami, to jest rywalizują z drapieżnem zwierzem i ptactwem w tępieniu zwierzyny i ogołacaniu z niej kraju. — Z wyjątkiem kilkunastu wielkich dominiów, w których straż leśna nie wzorowo, ale jako tako jest urządzona, i to w duchu raczej leśniczym jak łowieckim, to jest w duchu raczej zabezpieczenia lasów od napaści, jak umiejętnej opieki nad zwierzyną, reszta litewskiego kraju pozostaje pod tym względem w stanie zupełnego zastoju i przedwiekowego nieporządku. — Jest wprawdzie więcej, jak gdziekolwiek zwierza, jest mnóstwo niedźwiedzi, wilków, dzików, łosi, rysiów i lisów, ale to dla tego tylko, że tych ani pastuch kijem nie zabije, ani kundel nie zdusi, ani amator cudzej zwierzyny łatwo nie dostanie, tak samo jak jest mnóstwo drapieżnego ptactwa, które i trudno dostać i zjeść nie można — ale zato mniej jest zajęcy na mili kwadratowej, jak w Królestwie i Galicyi na jednym morgu, kuropatwy stają się prawie rzadkością, a setne może gniazdo borowego lub błotnego ptactwa cudem jakimś wyprowadzić się zdoła, w pośród mnóstwa czyhających na nie od jaja pastuszków wiejskich, armii kundlów za bydłem się włóczących i psów myśliwskich,

*) *Ług, łużek*, zarosłe jeziorko, niegłębokie, bez ryb.

nie trzymanych w zagrodzie, lecz puszczonych samopas i polujących na własną rękę po lasach i błotach przez całą wiosnę.— Co gorsza, że prócz w niedostępnych prawie miejscowościach Polesia i innych częściach Litwy, świń dzikich i łosi wcale już jest nie wiele, bo wszycy je biją, a nikt się nie stara o ich rozmnożenie — Kolej żelazna i szosse, tak zwane Brzesko-Bobrujskie, przecięły komunikacyę zwierza między Polesiem a północnemi stronami Litwy, i są całe powiaty obfitujące dawniej w zwierzynę, której im dostarczało Polesie, w których świnie już są rzadkością, łosie zaś utrzymują się tylko w lasach lepiej nieco strzeżonych kilku wielkich dominiów. Takiemi są powiaty Ihumeński, Borysowski i część Słuckiego gubernii Mińskiej, gdzie jeśli ten stan bezładzia i bezprawia potrwa lat kilkanaście, łosie i świnie staną się taką rzadkością, jak żubry. Na Polesiu zaś o tyle tylko się utrzymują, o ile im osuszenie błot nie zada ostatecznego ciosu. — A szkoda, bo te błota nie tylko nie stały gospodarstwu rolnemu na przeszkodzie, ale wielką dlań były pomocą w nieprzeliczonych ilościach siana, paszy i podściołu, przy umiejętnym zaś kierunku mogłyby być nieprzebraną spiżarnią zwierzyny, i niemałem źródłem bogactwa krajowego. — Żeby o tem mieć wyobrażenie, dość wiedzieć, że kaczek naprzykład nikt tam nie strzela, ale łowią je w pewnego rodzaju siatki, które rozwieszone pomiędzy dwoma drzewami na przelotach kaczych, na noc się zastawiają,— przelatująca kaczka uderzywszy w nią dziobem, spada, i na dole znajduje się w rodzaju worka, sformowanego z tejże siatki, złożonej we dwoje, z którego się już wydobyć nie może.— Tym sposobem jedną siatką złowić można przez noc kilkadziesiąt kaczek, które w beczkach marynowane, są tak jak wiuny, najpospolitszym Poleszuka pokarmem, — a mogłyby być, nie wątpię, nawet przedmiotem handlu.— Dość także, jak to dzieci Poleszuków robią, zasiąść w oczerecie w miejscach, gdzie kaczki, wracające z żeru, na noc zapadają, żeby nieruszając się z miejsca i machając tylko po nad głową długim a giętkim prętem leszczynowym, w chmurę zapadających kaczek, zabić ich kilkanaście w przeciągu kilku minut — Dziwić się zatem nie można, że Poleszuk kraj swój przenosi nad wszelkie inne, jak tego dowodzi następujące zdarzenie, które niech będzie wstępem do opisu polowania na łosie z objazdem, o którem chcę nieco pomówić.

Przed rokiem 1812 kompania Anglików zakupiła na Polesiu, a mianowicie w powiecie Mozyrskim, gubernii Mińskiej i Owruckim, gubernii Wołyńskiej — ogromne obszary błot i lasów, dla wyrobu drzewa towarnego, oraz smoły i dziegciu na handel krajowy i zagraniczny. Ale jak zwykle, stosunki z władzami rządowemi dwóch gubernii, to jest z dwoma gubernatorami, z dwoma guberskimi rządami, kilku pałatami i nieskończoną ilością czynowników i policyantów, tak im się dały we znaki, że po kilku latach, zrzekając się wszelkich swego przedsięwzięcia korzyści, postanowili rozwiązać spółkę, wyprzedać majątki i wrócić do Anglii. Jakoż udało się im to jako tako, i wszyscy pożegnali się raz na zawsze z Polesiem, prócz jednego, który przez kilka lat swojego na Polesiu pobytu tak w niem i w polskiem życiu zasmakował, że ożeniwszy się z ubogą tameczną szlachcianeczką, zatrzymał jeden z majątków, wystawionych na sprzedaż, dla siebie, i w nim się na długie lata osiedlił. Radziwiłłowicze, tak się zwie ów majątek, leżą w najdzikszej i najbezludniejszej stronie Polesia — na mapie Mińskiej gubernii cała ta okolica wygląda jak jakaś Sahara, w środku której punkcik z napisem *Radziwiłłowicze* domyślać się każe, że tam ludzie mieszkać muszą, jakkolwiek pojąć trudno, jak mogli mieć odwagę tam zamieszkać W tej pustyni pan Wiliams (o ile sobie przypominam, tak się nazywał nasz Anglik) przepędził kilkanaście lat, żyjąc tem ziemiowodnem życiem poleskiem, z chłopami swoimi tylko, przez całe trzy ćwierci roku, zimą zaś z kilku nadto znajomymi, którzy nie odstraszeni odległością, przy dobrej sannej drodze, nawidzali dom jego, z angielskim comfortem urządzony, ale polską gościnnością tchnący. Owdowiawszy wszakże, i czując dla dorastającego syna potrzebę lepszej edukacyi, jak ta, którą w Radziwiłłowiczach odbierał, postanowił zawieźć go do Anglii. Napisał zatem do najlepszego swego przyjaciela, pana Zienowicza, obywatela powiatu Kobryńskiego prosząc, aby się z nim zjechał w powiatowem mieście Mozyrzu, i tam przedłożywszy mu swój interes, wydał mu stosowne plenipotencye, zdał administracyę całego swojego majątku, i przyrzekłszy, że będzie się z nim często listownie komunikował wrócił do domu dla podróżnych przygotowań. Oryginalne to były przygotowania. Tak już bowiem przywykł do poleskiego życia, że nie chcąc z niem zerwać od razu, urządził się, żeby niem żyć jak najdłużej. Naładował więc dwadzieścia kilka jednokonnych poleskich wózków krupami, krupkami, mąkami, wędzoną rybą, suszonymi grzybkami, wszelkiego rodzaju wędlinami, marynatami i konserwami, masłem, serami i słoniną, starą wódką i kilku gatunkami miodu w beczkach, wreszcie wszelkiemi narzędziami i naczyniami z drzewa i gliny, miejscowego wyrobu, między któremi było nawet i czółno lipowe i wszystkie przyrządy myśliwskie, rybackie, bartnickie i rolnicze, na Polesiu używane, a także wszystko, co służy do ubrania chłopa polskiego, w suknach, płótnach, namitkach, redczuchach*) i różnych tkaninach, i z tem, w towarzystwie dwudziestu kilku Poleszukach, w białych sukiennych świtach, czerwonych pasach, baranich czapkach, i ogromnych nieprzemakalnych poleskich butach, puścił się w drogę do Anglii. — Pomimo zapowiedzianej częstej korespondencyi, nie otrzymał pan Zienowicz ani jednego listu od swojego przyjaciela przez całe dwa lata, — gdy w tem pewnego wieczora właśnie w czasie bytności tam pana Zienowicza, zjawia się na dziedzińcu Radziwiłłowickim banda najdziwaczniej ubranych ludzi, gdyż w pośród czapek baranich nie jedna już się przebijała normandzka szlafmyca, lub bretoński kapelusz, a poleskie buty przeważnie zamieniły się w trzewiki lub drewniane saboty, i pan Zienowicz ze zdziwieniem poznaje towarzyszów pana Wiliamsa, dowiadując się od nich najciekawszych szczegółów ich peregrynacyi — a mianowicie, że jechali tak krótkimi dniami i nie spiesząc się wcale przez kilka miesięcy, że byli w Wiedniu i w Paryżu, i że nakoniec przybywszy do Calais pan Wiliams przeładował wszystkie swoje poleskie bogactwa na okręt, płynący do Londynu, i żegnając się z nimi najczulej, dał każdemu po 500 franków w złocie, i w blaszanej puszce libertacyę, czyli uwolnienie z poddaństwa oraz paszport, robiąc im uwagę, że przejechawszy tyle świata, mają teraz prawo wybrać sobie jeden z krajów, który poznali, i osiąść w nim na resztę życia, ale oni, po krótkim namyśle, wszyscy jednozgodnie postanowili wrócić do domu z pieniądzmi, jakie im dał pan Wiliams, a także ze sprzedaży swoich koni i wozów, gdyż przekonali się, że: *nihdzie lepsz jak u Radziwiłłowiczach*, — ponieważ nigdzie nie ma ani takich lasów, ani takich błot, ani takich obszarów, ani takich wygód, i że nie daj Boże tam mieszkać, gdzie człowiek nawet ognia sobie porządnego rozłożyć nie może. — O panu Wiliamsie długo jeszcze pan Zienowicz najmniejszej nie mógł powziąć wiadomości, aż nareszcie, gdy skutkiem wypad-

*) Redczuch, rodzaj grubego muślinu, używanego na namitki, czyli ubranie głowy mężatek, a także na pawilony nad łóżkiem dla ochrony od komarów.

ków 1831 roku zaczęło się czynownikowstwo dobierać do Radziwiłłowicz, jako do majątku, którego właściciel musiał należeć do rewolucyi, pan Zienowicz odniósł się w tym interesie do lorda Brougham, ambasadora podówczas angielskiego w Petersburgu. — Ten zawezwał wszystkich zamieszkałych w Petersburgu Anglików, i wkrótce otrzymał pan Zienowicz zawiadomienie jednego z nich, że ich wspólny przyjaciel pan Wiliams, odetchnąwszy ojczystem powietrzem dostał spleenu, ale takiego, że dał sobie słowo nie tylko do nikogo nie przemówić, ale nawet nie napisać, i że ambasada angielska przedsięwzięła kroki, żeby go zmusić do złamania tego słowa, w tym jednym przynajmniej razie. — Jakoż pan Zienowicz otrzymał wkrótce własnoręczny list pana Williamsa, w którym obok mnóstwa najczulszych oświadczeń wdzięczności i wyrazów najserdeczniejszej przyjaźni, a nawet błogosławieństw dla niego i całej jego rodziny, mieściła się gorżka wymówka za zmuszenie go do złamania danego sobie najuroczyściej słowa, czego mu do końca życia przebaczyć nie zdoła. Naznaczył wszakże dwóch swoich znajomych, w Petersburgu zamieszkałych, do przyjęcia rachunków z administracyi i pieniędzy od p. Zienowicza i do sprzedania Radziwiłłowicz, skutkiem czego pan Zienowicz zmuszony był pojechać do Petersburga, gdzie, chociaż tęgiej do wypitki głowy, tyle razy z Anglikami upić się musiał, że długo potem słyszeć nie mógł o koniaku, araku, xeresie, portwejnie i szampańskiem winie na spirytusie, a zarzekł się na wieki opieki, administracyi i wszelkich interesów angielskich. — Radziwiłłowicze nabył pan Heltman, pomimo nazwiska z niemiecka brzmiącego, prawdziwy Litwin i Poleszuk, a namiętny myśliwy, u którego na polowaniu na łosie z objazdem, opowiadał mi pan Zienowicz całą powyższą historyę.

Polowanie zaś, do którego nakoniec doszliśmy, odbywa się w następujący sposób.

Kilka długich, jednokonnych sań poleskich, każde wiozące kilku myśliwych, wjeżdża na błoto hałe, zarosłe tylko czeretem i rzadką olszyną lub łozą. — Za danym znakiem przewodnika, który pierwszy dostrzegł stojące łosie, wszyscy kładą się w saniach, i zaczyna się tak zwane objeżdżanie. Łosie, których niekiedy bywa sztuk kilkanaście, spostrzegłszy jadące furmanki i biorąc je za chłopskie sanie z drwami, które nieraz widzieć im się zdarza, nie uciekają, ale patrzą na nie ciekawie — wtedy wiozący leśnicy, wyrzuceniem nieznacznem pręcika drewnianego, dają znak milczący spadania z sanek. Za każdym pręcikiem spada myśliwy, i leżeć powinien nieruchomie w pozycyi, w jakiej spadł, dopóki łosie zwracające uwagę na idący transport, nie zwrócą się tyłem do niego — wtedy ma prawo powstać, i nie schodząc z miejsca dobrać sobie najdogodniejszą pozycyę do strzału. Tym sposobem, zawsze w odległości kilkuset kroków od łosi, porzucani myśliwi stanowią linię, kształtem zbliżoną, stosownie do ich ilości, do półkola lub trzech czwartych koła. Gdy już ostatni został zrzucony, wtedy furmanki zwracają się wprost do łosi, które powoli, oglądając się poza siebie, ustępują, i tym sposobem natykają się na strzelców, od których zręczności zawisł wynik polowania, łatwo bowiem zrozumieć, że po pierwszych strzałach już są daleko i polowanie się kończy. — Szlacheckie to polowanie ma tę dobrą stronę, że nie niszczy za nadto zwierzyny, że dozwala rozpatrzeć się dobrze, i wybrać rogala, zamiast cielnych łosz, które najczęściej padają ofiarą polowań w gąszczach, a jest równie emocyonujące, jak polowania pańskie, tem już samem, że się ma ciągle zwierza na oku i ciągłą nadzieję strzelania.

Do szlacheckich także, a nawet chłopskich, należy polowanie łosi na wab. Odbywa się ono w czasie rui łosich w ten sposób. Idzie się o świcie lub o zmroku, z dobrze umiejącym wabić leśnikiem do lasu, w miejsce przedtem upatrzone, i gdy leśnik wabi w pewien sposób przez gruby otwór trąby, naśladując stękający ryk łoszy, strzelec stara się jak najlepiej naśladować jej chód, skacząc i łamiąc pod sobą suchą leż czem zwabione rogale przybiegają o kilka kroków na strzał jego. — Takie polowanie w kilku strzelających są dość niebezpieczne, zdarza się bowiem, że z gorączki myśliwskiej kilka ze stron przeciwnych pada strzałów do jednego łosia, a te nie zawsze bywają szczęśliwe. Na takiem polowaniu zginął pan Rudolf Ciechanowiecki, majętny obywatel, i jeden z najzacniejszych ludzi, trafiony w skroń kulą, która przeszła wprzód przez kark łosia.

W czasie rui łosie są tak nieprzytomne, że nie rzadko się zdarza, iż w tem usposobieniu wchodzą za krowami do wiosek, i dają się zamykać w chlewach. O ile sobie przypominam, w r. 1842 łoś zapędził się w ten sposób za krowami aż do miasta Mozyrza, gdzie złowiony w chlewie, został zarznięty przez żydów na koszer, za opłatą pewnej dość znacznej sumy, ofiarowanej sprawnikowi i horodniczemu, gdyż oba czuli w sobie równe prawo do tego wynagrodzenia, jeden jako gospodarz powiatu, drugi zaś jako gospodarz miasta.

Jeden z najoryginalniejszych rodzajów polowania poleskiego, jest tak zwane polowanie *na obławach*. Na wiosnę, kiedy Prypeć i Horyń, z mnóstwem wpadających do nich małych rzek wyleją, całe Polesie jest pod wodą, wyjąwszy ma się rozumieć, miejsc przez ludzi zamieszkałych, i lasów sosnowych, wyżej nieco położonych. — Na takie więc wyspy chroni się zwierzyna okoliczna wszelkiego gatunku, i na małej przestrzeni lasu, oblanej w koło wodą, nie raz zdarza się znaleść kilkanaście lub kilkadziesiąt sztuk łosi, dzików, sarn, lisów, zajęcy, a nawet wilków, żyjących z sobą względnie w najlepszej zgodzie, którą dopiero kilka sfor gończych i kilkunastu myśliwych na czółnach i szuhalejach*) przybyłych, w niemiły sposób zakłóca. Zabawne to jest polowanie, zwłaszcza kiedy po kilku strzałach, naparta przez psów zwierzyna szuka ratunku, i widać najrozmaitsze jej gatunki, dążące instynktowo wpław do bezpieczniejszego miejsca. — Nim się wszakże to wszystko zdecyduje na ten krok stanowczy, gon trwa nieustanny, i kilka lub kilkanaście sztuk pada pod strzałami myśliwych.

Historya pana Wiliamsa naprowadza mnie na dwóch jeszcze Anglików, którzy z Polesia wywieźli miłe myśliwskie wspomnienia. — Jednym był lord Holcomb, któremu w 1843 r. książe Leon Radziwiłł wyprawił kilkanaście polowań na grubego zwierza w dobrach swoich ordynackich i Borysowskich.— Na jednem z tych polowań zabito 56 sztuk świń, między któremi pięć ogromnych odyńców. — Że zaś polowano bez sieci, drugie tyle niezawodnie uciekło przez obławę, a nie mało też noc zaskoczyła w lesie — Do łosi strzelał dwunastu, ale żadnego na miejscu nie udało mu się ubić, za to czterech niedźwiedzi położył gracko, każdemu pod ucho wsadziwszy kulę z wybornej gwintówki Pourdeya — prawda, że rzadko dla kogo niedźwiedzie okazują tyle względności i dobrej woli, — każdy z nich stawał przed nim nie dalej, jak na kroków trzydzieści, i zwracał łeb, jakby nadstawiając ucho do strzału. — Pan ten prócz polowania, interesował się wszystkiem krajowem do tego stopnia, że nauczył się pleść łapcie, i jedną parę zrobił, siedząc w chacie kurnej na gorącym piecu, ze starym tejże gospodarzem, a nauczycielem swoim tego rodzaju fabrykacyi. — Ale na tem koniec, bo prócz łapci, żadnego pojęcia o kraju nie wy-

*) Szuhaleja, duże czółno, na kilku wioślarzy, którem się odleglejsze podróże i większe transporta ułatwiają.

wiózł. — Drugi Anglik, z którym się na polowaniach księcia Leona Radziwiłła przed 1863 rokiem przez lat kilka spotykałem, prócz polowania, polubił bardzo chłopów poleskich, nie tyle dla ich sprytu i natury prawdziwie myśliwskiej, ale jak się sam z bretońską flegmą i akcentem wyrażał: *„Car j'aime, que le paysan soit sale, ignorant et respectueux, et ils sont comme cela... Je suis conservateur"*, — co dowodziło głębokiego poglądu szanownego Whiga i dzisiejszego zapewne Gladstonisty. — Wolałem już pewnego Francuza, który żartobliwie dowodził, że może się z każdym po polsku rozmówić, dodając tylko *ski* do każdego francuskiego słowa:

„Ainsi, je dis par exemple, Loudwikoski donnez moiski carabinoski, et je suis compris au premier mot." — Ludwik, był to myśliwiec, dodany mu do posługi na polowaniu, i rzeczywiście dość inteligentny, żeby tego rodzaju polszczyznę bez wielkiego łamania głowy zrozumieć.

Najwięcej mi wszakże zaimponował erudycyą swoją pewien także wielki pan włoski, który po jednem z polowań w ten sposób zagadnął przyjaciela swojego, także Włocha: *„Mon cher, je n'ai qu'à répeter le mot de Louis quatorze au maréchal Crillon, après la bataille de Foutenoi: Pends toi, car j'ai tué un élan etc. etc.*

Słabe to daje wyobrażenie o wykształceniu historycznem magnatów Neapolitańskich, ale daje dobre o wybornem urządzeniu polowań Radziwiłłowskich, na których tacy panowie i wygodnisie znaleść mogli comfort i wygody wszelkie w najdzikszych stronach Polesia.

Ładne i porządne pawilony myśliwskie, przyzwoicie umeblowane, i opatrzone w pościele, bieliznę stołową i wszelkie kredensowe porządki, pod dozorem leśnika, w pobliżu mieszkającego, zostające, dają kilkudniowe dla myśliwych całkiem wygodne schronienie, przy dobrym zwłaszcza kucharzu i zapasie win, oraz prowizyi dodatkowych, do tego, co samo polowanie dostarcza w najrozmaitszej zwierzynie. — To też obiady poleskie zawsze trafiały do gustu zagranicznych księcia gości, z tą tylko różnicą, że kiedy Francuzi i Włosi dobrze już po nich spali, Anglicy długo jeszcze w noc rozprawiać umieli o wypadkach dnia, przy kilku butelkach madery, porto, scherry lub Marsala.

Z pociechą dowiaduję się, że i dzisiejsze polowania nie odstępują od dawnych tradycyi, czego dowodem są polowania odbyte w tamtych stronach tej zimy przez księcia Antoniego Radziwiłła, na których prócz innego zwierza padło czterech niedźwiedzi, o czem starać się będę zasięgnąć bliższych dla *Łowca* wiadomości. — Dowód to, że jest jeszcze w Litwie na co polować, i że są ludzie, którzy polować lubią, z niemniejszą wszakże pociechą dowiedziałbym się, że są i tacy, którzy starają się o rozmnożenie zwierzyny, że są prawa, wzbraniające paszenia bydła po cudzych lasach, strzelania przez rok okrągły do wszystkiego, co się nawinie, i karmienia psów młodymi zającami i borowem ptactwem, że nareszcie straży lasów i polowania nie powierza się ludziom, nie mającym do tego innej kwalifikacyi, prócz tej, jaką słyszałem z ust pewnej osobistości, rekomendującej się na obowiązek łowczego: „Służyłem, Panie Dobrodzieju, u pana generała Morawskiego, a także u panów N. N. i X. X., i mogę panu zaręczyć, że gdzie ja byłem, tam już ani jednej sztuki zwierzyny nie zostało."

KORESPONDENCYE.

Rzym 16. lutego

U was zapewne jeszcze śniegi i lody, używacie sannej i polujecie, a tu na dobre słońce zajrzało nam w oczy i ciepłem swem ożywiło zieloność; chodzimy na *Monte Pincio* w lekkich surdutach i kupujemy kwiaty, którymi zasiane są wszystkie ogrody ku południowi położone. A jednak tęskno myśliwemu za knieją, za śniegiem — a najbardziej za krajem i za swoimi — i tam ciągnie jakaś siła niepojęta. — Ha! nie można się dziwić! — nawet zwierz dziki zwykł składać swe kości w borach, gdzie się urodził i wychował.

Skończyliśmy na drugim punkcie, przechodzimy teraz do

3) Najmowanie prawa polowania na gruntach włościańskich.

Punkt ten jest bardzo ważny i tworzy jakoby dalszą część 2., tak bowiem ściśle są z sobą połączone. — Jeżeli nie chcesz mieć rabusiów zwierzyny, to najmuj polowania na gruntach włościańskich, gdyż inaczej nie pozbędziesz się ich nigdy.— Włościanin nasz w ogóle nie dba o zwierzynę, nie czując jej potrzeby ani wartości, więc o to prawo polowania nie bardzo się troszczy patrząc obojętnie, gdy kto z psem i strzelbą buszuje po jego polach i lesie. — Cóż z tego wynika? — Oto niemożebność upilnowania swoich obszarów, gdyż rabuś pod pozorem, iż na włościańskich łanach poluje, wkrada się do dworskich, a w chwili nadejścia straży umyka na gminne, i tam swobodnie pozostaje, nie lękając się jakiejkolwiek odpowiedzialności. — Ważna także okoliczność powinna nas skłonić tem bardziej do wynajmowania polowań, a tą jest niszczenie jaj i młodzieży przez wiejskich chłopaków, którzy namiętnie tym sposobem tępią zwierzynę. Często każdemu z nas zdarzało się być świadkiem, jak pastuszki wybrane jaja piekli przy ogniu, lub złapane młode kuropatwy, zające a nawet i sarny przynosili do dworu. — Jeszcze to nie źle, gdy tam odniosą, bo dbały myśliwy kupi je i puści w pole lub do lasu — ale ileż tej zwierzyny nie doczekawszy jesieni ginie w ten sposób, służąc za pieczeń pustym dzieciakom. — Gdy Gminy wiejskie, ulegając nowym rozporządzeniom rządowym, wynajmą komuś ze swoich lub kolonistom, to już wtedy nie ma końca nadużyciom, w dzień, w nocy, na zasiadkę, i w każdej porze roku, włóczy się ta czereda, strzelając wszystko bez wyjątku i łapiąc na sidełka.

Aby temu zapobiedz, potrzeba koniecznie starać się o wydzierżawienie prawa polowania, co jest tem łatwiejsze, iż ceny są aż zbyt przystępne.

4) Hodowanie zwierzyny w czasach ciężkiej zimy.

Często się zdarza u nas, iż mamy jeżeli nie całą zimę zawalną, to przynajmniej parę tygodni takich, że śnieg czasem metra głębokości dochodzi. Otóż w tym czasie trzeba ułatwić zwierzynie wyżywienie, gdyż tak dzik, jak sarna i zając z trudnością dostaną się do pożywienia, i często giną z głodu w skutek obojętności i niegościnności gospodarza kniei, w której przemieszkują — a polska gościnność jest tradycyonalna i od najdawniejszych czasów przysłowiem nawet stwierdzona — dla czegoż w tym wypadku tak niegościnni jesteśmy dla mieszkańców pól i borów? — To samo dzieje się z kuropatwami, które same cisną się pod dachy ludzkie i żebrzą po stodołach choć garstki ziarna — biedne, nie wiedzą, że ich tam śmierć czeka, gdyż najczęściej wyłapują je na sidełka i karki kręcą, lub wystrzelają do szczętu! Potem, gdy jesień nadejdzie, narzekasz bracie,

że ich nie ma — gdzieś się podziały — zapewne pociągnęły w inne strony, lub wyginęły pomorem zarazy i t. d. — Nie wyginęły one same, lecz byłeś niegościnny, żałowałeś ziarnka zboża i dla tego dziś pola twe i remizy są puste, a tam najłatwiej je ściągnąć — rzuciwszy garść hreczki pośledniej można je przechować w najgorszej porze zimy. — Jakie pożywienie dawać zwierzynie, wiecie, gdyż w krótkości powiedziano to w poprzednich numerach *Łowca* — a nie jest to drogie wyżywienie, — dodałbym tylko, iż można kłaść po garści otawy i owsa na widełkach, dla zajęcy zaś po liniach zasiewać jarmuż i tak zwany *Hasenkraut*, który zimą jest wybornem pożywieniem nawet i dla sarn. — Dobrze jest łapać część kuropatw na zimę, ile można, 10, 20, 30 par i przechować gościnnie w komorze*), a potem w marcu wypuścić do remizy. Te kuropatwy najczęściej zostają już na miejscu i mnożą się tam, gdzie je wypuszczono. (C. d. n.)

Henryk hr. Łączyński.

Brzesko 23. Marca 1878.

W czasie mojej niebytności zabito w Lutym jelenia. Ważył 380 funtów, miał rogi wielkie, ale bez odnogi, jak *szpiser*. Robię zabiegi, aby je dostać, w takim razie opiszę je dokładnie.

Przez wytrucie w okolicy kilkumilowej wilków, rozmnożyła się różnorodna zwierzyna w Karpatach ziemi Sanockiej — tam, gdzie dawniej zwierza trudno znaleść było, obecnie sarna i dzik nie były rzadkiem zjawiskiem, a nawet w okolicy Berehów górnych, Wetliny, pojawiło się kilkanaście sztuk jeleni. — Śniegi niezwykle grube tej zimy, spadłe w Styczniu i Lutym ułatwiły polowanie na dziki, które z niedostępnych szczytów gór w niżej położone, bliższe wsi łany ściągnęły się. Polowałem na nie dwa razy w lasach Wgo Ig. Sołdraczyńskiego w Jabłonkach i Kołonicy, — raz 30. Stycznia b. r. w 8 strzelb dzień jeden — ubiłem dwa dwuletnie dziki, trzy warchlaki i rogacza, drugi raz 26. 27. i 28. Lutego w 5 strzelb, zabiłem odyńca, samurę i trzy warchlaki, — z tych dwa kłute. — Poluję zawsze z psami gdyż brak linii, grunt skalisty i mocna stoczystość olbrzymich gór innego polowania nie dozwalają. Psów biorę dwa, ale dowodnych, te puszcza się na obcięte dziki, które, choćby z pierwszej kniei, w której zostały obcięte, wyszły, prawie zawsze bywają strzelane, a to w ten sposób: Okolice Jabłonek przecina samą doliną gościniec węgiersko-galicyjski, po obu stronach zaś gościńca są strome ubocza ze stokami ku gościńcowi, poprzerzynane jarami i wysokiemi, skalistemi, jedliną i brzeziną porośniętemi górami. Jeżeli dzik, gnany przez psy, wyjdzie z miotu, gdzie był obcięty, schodzę z kilku strzelcami na gościniec, na którym stoją sanie, a jadąc nawet wolno, mogę uprzedzić psy, idące z dzikiem przez góry i jary, a który nie bojąc się dwóch psów, nie idzie tak daleko, jak to zwykł czynić, gnany przez liczną psiarnię Tak więc słyszę ciągle psy, a nawet na skałach, porosłych drobną brzeziną, (której tutaj jest dosyć), widzę z sani dzika i psy. Następnie widząc, dokąd dzik zdąża, wyprzedzam go jadąc gościńcem, i wychodzę na grzbiet góry z myśliwymi, gdzie robię zastęp. Psy tymczasem nadchodzą z dzikiem, który się osacza co chwila i prawie zawsze bywa strzelany. Jeżeli został postrzelony i poszedł dalej, idzie jeden z myśliwych w trop za psami, a reszta schodzi na gościniec, i powtarza tę samą manipulacyę po raz drugi. Tym sposobem ubiłem 21. Lutego samurę, która wyszła niestrzelana z miotu, następnie w dwie godzin na pierwszym zastępie była postrzeloną, a dopiero w godzinę później zabiłem ją 1½ mili od miejsca, zkąd ruszoną została — na drugim już zastępie. — Walka dzika z psami, podsuwanie się pod osaczonego dzika, i cały przebieg polowania, ma dla mnie urok niezwykły, chętnie też, gdy czas pozwala, jadę w góry dla zapolowania i wypoczynku po trudach codziennego życia. — Na węgierskiej stronie korzystano również ze śniegów bogdaj czy nie nad miarę. Słyszałem, że w okolicy od Humennego do Służycy zabito tej zimy 170 dzików. — Na naszej stronie zabito w Lutym w Wetlinie jelenia. Za dwoma stadami, w których było 14 sztuk, chodzono dni parę, lecz niestrzelane poszły do Węgier. Niedźwiedzi było bardzo mało, jednego zabito w Cisny, dobrach br. Arnima, zabił go chłop w jesieni na owsie. Na pierwszym śniegu tropiono w całej okolicy tylko jednego, i ten poszedł do Węgier. Oprócz tego zabił leśny w lasach wsi Rabego rysia przed psami, polując na szarej stopie na dziki. — Kończę moje sprawozdanie przesłaniem dla członków Towarzystwa łow., z których większością łączą mnie stosunki znajomości lub przyjaźni, a z wszystkimi związany jestem ściśle, jako pojedyńcze ogniwo grona myśliwych w kraju — w braku polskiego odpowiedniego wyrazu, niemieckim: *Waidmannsheil!*

Teofil Żurowski.

Wysock 19. Marca 1878.

Namówiony przez kolegów myśliwych, przesyłam opis dosyć rzadkiej rozprawy z odyńcem, którą szczęśliwie przebyłem na polowaniu w Kosienicach u Pana Dembowskiego w pierwszych dniach stycznia b. r. Zastępując już 4 miot, gdy rozstawiano myśliwych, natrafiono na linii na świeże tropy wchodne dużego dzika. Włożyliśmy więc po jednej kuli do naszych dubeltówek. W chwilę po danem haśle, gdy już naganka ruszyła, słyszę strzał, po którym między dwoma moimi najbliższymi sąsiadami widzę przez linię przechodzącego wielkiego dzika, do którego ci dwaj panowie cztery razy strzelają, nabijają i goniąc za nim jeszcze trzy razy poprawiają. Sądziłem, że dzik leży, gdy po pięciu minutach słyszę chód grubej sztuki po za linią. Obróciwszy się, ujrzałem o dwadzieścia kilka kroków pięknego odyńca z wysokim przodem, idącego kłusem ku mnie na *kulawy sztych*. Przypuściłem go na dziesięć kroków i strzeliłem kulą w sam przód łopatki. Pomimo trafnego strzału, odyniec nie drgnąwszy prosto na mnie się rzuca. Strzelam z drugiej lufy śrótem (numerem czwartym) w łeb, a widząc zwierza dalej pod nogi moje szybko posuwającego się, nie mając już czasu dobyć kordelasa, prosto linią czemprędzej uciekać zaczynam. Odyniec galopem goni tuż za mną. Po trzydziestu kilku krokach, nie chcąc już dłużej w głębokim śniegu grać roli zająca przed takim chartem, odskoczyłem w bok w gęstwinę. Odyniec stanął na linii, a kłapiąc kłami i rozglądając się, wszedł truchtem w miot. Dobywam nabój z torby, w pospiechu z śrótem zamiast z kulą, goniąc go strzelam za nim na kroków piętnaście, rzucam strzelbę, dobywam kordelasa, i przebijam odyńca, zawzięcie do mnie zwracającego się. Po zadaniu drugiego i trzeciego pchnięcia pod łopatkę legł nareszcie już prawie nieżywy. W tej chwili zbiegli się myśliwi i naganiacze, wyciągnięty na linię odyniec piękny widok dla myśliwskiego oka przedstawiał, a po odbytej później obdukcyi, okazało się, że oprócz mojej kuli w przodzie łopatki i mnogich śrótów, był tylko dwoma kulami miękko trafiony. Ważył 320 funtów cłowych. Wróciw-

---

*) Komora stawia się w remizie lub w lesie. Jest to mały budyneczek z brusów, kryty gontem lub słomą, gdzie przez drzwiczki wpuszcza się bażanty lub kuropatwy, i tu rzuca się im pożywienie.

szy wieczorem w gościnne progi Kosienickiego dworu, często wspominany nieboszczyk rozbudzał myśliwską fantazyę.

Stefan hr. Zamoyski.

Krukienice 19. Marca 1878.

Wyczytawszy w Nr. 3. *Łowca* -wyjaśnienie potrzeby hodowania i ochrony zwierzyny, które bez wątpienia w każdym większym, a nawet i mniejszym majątku wprowadzone być powinno; za miły poczytuję sobie obowiązek donieść, jako w Krukienicach takie postępowe gospodarstwo łowieckie już od dawna istnieje. Hr. Zygmunt Drohojewski słusznie do najznakomitszych myśliwych policzyć się może, on bowiem przed dwudziestu laty, gdy nikt u nas o hodowaniu zwierzyny nie marzył, zaprowadził u siebie: 1. Trucie, strzelanie i tępienie wszelkimi możliwymi sposobami drapieżnego zwierza. 2. Dzierżawienie polowań na gruntach gmin sąsiednich, jedynie w celu ochrony zwierzyny, 3. Żywienie sarn i zajęcy sianem, stawianem w brogach i stertach na łąkach leśnych, otawą w umyślnie urządzonych tryzubach, rzepakiem, lizankami itp. — Straż lasowa, prócz leśniczego i podleśniczego nie posiada tu strzelb, lecz tylko pistolety i kordelasy. — Kóz nie wolno strzelać myśliwym pod karą 50 złr., oficyalistom zaś pod grozą utraty służby. — Przed 20 laty zabłąkały się do lasów Krukienickich cztery sarny, staranna i umiejętna ochrona tej zwierzyny sprawiła, iż obecnie na przestrzeni leśnej 2000 morgów stale przebywa 250 do 300 sztuk sarn, z których wybija się rocznie 35 do 40 rogaczy, i to samych starych, do młodych bowiem strzelać nie wolno pod karą 10 złr. — Tej zimy, na kilku polowaniach, w pięciu lub sześciu myśliwych, ubito: 1 odyńca, 7 lisów, 35 zajęcy, 48 rogaczów. Na błotach i polach zabito: ptactwa sztuk 700, a prócz tego drapieżnej zwierzyny sztuk 32. — Idąc w ślady tak dobrego przykładu, zaprowadzili podobne gospodarstwo łowieckie sąsiedzi: hr. Kazimierz Drohojewski w Tamanowicach, hr. Stanisław Stadnicki w Krzysowicach, ks. Adam Lubomirski w Mizyncu, PP. Maciej Serwatowski w Rajtarowicach, major Pawlikowski w Brześcianach i inni. — Niestety nie wszyscy sąsiedzi idą za takim dobrym przykładem. U nich wolno kucharzom i lokajom polować po całych dniach i o każdej porze i strzelać do wszystkiego co się nadarzy, ale nadto zasiadać na zwierzynę w nocy, strzelać do ponętą zwabionego stada sarn. Taka niedbałość staje się powodem zupełnego wytępienia zwierzyny i szerzenia się zgubnego kłusownictwa. Miejscowiści, zakażonych taką nieoględnością, w tej chwili nie wymieniam, mając nadzieję, iż ona rychło ustąpi.

J. Ostrzechowski.

Kopeczyńce w Marcu 1878.

Od lat 50 oddany straży lasowej i zawodowi łowieckiemu, nie jeden ciekawy wypadek myśliwski zanotowałem dla pamięci. Notatek tych dzisiaj pragnę udzielić sz. redakcyi *Łowca* — a jeżeli łaskawie przez czytającą publiczność przyjęte zostaną — chętnie je w temże piśmie umieszczać będę. — Rozpoczynam opisem polowania na *wilki* i *dziki*, które się odbyło w Listopadzie r. 1875 na polu czarnem. Zaprosił był wtedy właściciel Kopeczyniec na polowanie na bażanty hr. Wilhelma Siemieńskiego, hr. Stanisława Gołuchowskiego, jenerała hr. Koziebrodzkiego i pana Mieczysława Konopackiego. Miano polować w rewirze od granicy Jabłonowskiej, w którym przez dłuższy już czas sypano kukurudzę i jęczmień w celu przynęcenia dzików z rozległych lasów Jabłonowskich. Jakoż w istocie weszło w przestrzeń 40 morgów całe ich stado, gdzie też zaległo. Gdy przybyła na miejsce zboru drużyna myśliwska, wielce była uradowana, dowiedziawszy się, iż zamiast spodziewanych bażantów, spotka się z szlachetniejszym zwierzem. Rozstawiono myśliwych, na znak dany trąbką odezwała się nagónka, i w tejże prawie chwili wypada pięć wilków, z których jednego celnym strzałem powalił hr. W. Siemieński, dwa pan M. Konopacki, czwartego strzelec hr. W. Siemieńskiego. Do piątego nieszczęśliwie strzelano i umknął w las Jabłonowski. Śród tych strzałów, wyniosła się maciora z 7 warchlakami, przemykając przez nagonkę, która wielce była zdziwiona, iż mimo tylu strzałów dziki umknęły, ale zarazem uradowana, gdy następnie cztery wilki ściągnięto na linię. Polowano potem na bażanty, zające i rzadkiego w tych lasach lisa. Dopiero w kilka godzin doszliśmy do miotu, w którym się dzików spodziewano. Jakoż, skoro się myśliwi rozstawili, i pogónka odezwała się kałatałami, wnet padły dwa strzały i dwa warchlaki, zabite przez strzelca hr. Gołuchowskiego — reszta zaś dzików wyniosła się do Jabłonowskich lasów.

F. S.

KRONIKA.

Kalendarz myśliwski przypomina, iż w tym miesiącu szczególnie wilczęta z gniazd wybierać i tępić należy. Zwracamy uwagę wszystkich gorliwych myśliwych, którzy zwierzynę od tych najsroższych drapieżców ochronić pragną, i pomnożyć jej liczbę, iż nie powinni w tej porze szczędzić zabiegów, aby ów *płód wyszukiwać i tępić*. Przypominamy zarazem, że dostawca młodych wilcząt, wybranych z gniazda, otrzyma nadgrodę od delegata Towarzystwa łowieckiego, które w wytępianiu tym sposobem najszkodliwszych dla zwierzostanu drapieżców — najważniejszą upatruje dźwignię krajowego łowiectwa.

Dora 6. Kwietnia.

Dnia 19. Czerwca 1877 złapał pewien hucuł z Jamnej, w obwodzie Nadworniańskim w rewirze: Bojarskie — rysia (felis lynx) w samołówkę. Skórę z niego zatrzymał Wydział Rady powiatowej w Nadwornej, zapłaciwszy przeznaczoną nadgrodę. Skórę tę następnie darowano gabinetowi zoologicznemu gimnazyum Stanisławowskiego. *K.*

Żubrza 17. Marca 1878.

W lasach miasta Lwowa, w rewirach Żubrzeckim i Biłohorszczańskim, na obszarze 980 hekt. kw., ubito na urządzonych przez *Towarzystwo*, wydzierżawiające od Miasta prawo polowania, łowach z nagónką od r. 1871 do 1877, zatem przez lat 7: 20 kozłów, 5 kóz, 53 lisów, 513 zajęcy i 192 słonek. W każdej kniei poluje się w roku tylko dwa razy. Prócz owych dwóch dni, wolno członkom Towarzystwa pojedyńczo polować tylko na ciągu słonek i na *buszowanego*. — Liczba wymienionych słonek odnosi się do owych, które ubito na urządzonych polowaniach.— Małą jest liczba ubitej zwierzyny — byłaby ona znacznie większą, gdyby zwierzynę hodowano i staranniej jej bezpieczeństwa strzeżono, mianowicie od kłusowników i psów wiejskich, które w każdej porze niepokoją, a nawet tępią zwierzynę. Jak zgubnym jest lis dla zajęcy, niech służy za dowód, iż na polowaniu z nagónką, w połowie Października r. 1876, w małej kniei ubito 10 lisów i 9 zajęcy, 31. Grudnia zaś tegoż roku w tej samej kniei 23 zajęcy — a żadnego lisa. — W Lutym r. b. zjawił się w rewirze Żubrzeckim — wilk. Rzadkie zjawisko w tak bliskiej odległości od Lwowa! Nie wyrządziwszy żadnej szkody, wyniósł się tak rychło, jak nagle się zjawił. — Zgubną była tegoroczna zima dla biednego zająca, tysiące tego biednego zwierzątka, na którego życie tylu czyha wrogów, padło ofiarą śmierci głodowej. Najwięcej ich wyginęło w lasach górzystych, w głębokich jarach i debrach, nie mających *podszycia*, w ogóle w lasach czystych, z których zając z powodu głębokich śniegów, wydobyć się nie mógł, lub stał się pastwą lisa. W wymienionym rewirze znaleziono 3 martwe szaraki, z których jeden ułożył się do wiecznego spoczynku na stosie drzewa opałowego. *A. P.*

Czortowiec 26. Marca 1878.

Posyłam do Mnzeum hr. Dzieduszyckiego kilkudniowego warchlaczka, którego gajowi w majątku moim Uniżu znaleźli d. 24. t. m. nad brzegiem Dniestru. Zdawało im się, iż niedaleko od tego miejsca musi się znajdować maciora z prosiętami, i że ten warchlak spadł i zabił się, — zaczęli więc szukać i w istocie znaleźli barłóg, maciory nie było, jeden tylko prosiak leżał żywy w barłogu, a drugiego opodal znaleźli również żywego w krzakach, — zabrali zatem wszystkie trzy sztuki. z których zabitego posyłam, a żyjące dwa karmię mlekiem u siebie. Jestto para, wieprzyk i loszka — dla zwierzyńca pożądane.

Wł. Przybysławski.

Konty 25. Marca 1878.

Dnia 20. b. m zabił w rewirze Jasionowskim leśniczy mój dużą, szczenną wilczycę. przesiedziawszy trzy noce przy ścierwie.

Wł. z Ol. Gniewosz.

Na polowaniu w Dorohowie u P. Zabielskiego młody myśliwy, P. Włodzimierz Postruski, dał dowód niezwykłej zręczności i zimnej krwi myśliwskiej, której pozazdrościć może nie jeden z osiwiałych pośród borów łowców. Stojąc na stanowisku z dwoma sztućcami, czterema strzałami powalił na miejscu cztery dziki ze stadka, które na niego wyszło. Czy wielu z naszych myśliwych taki epizod w dziejach swoich łowieckich zapisać potrafią? — *S.*

Przyznajemy, iż P. P. dał dowód podziwienia godnej przytomności i zręczności — pociecha to dla prawdziwych a niestety rzadkich już u nas myśliwych, iż godnych siebie zostawią następców. Sztuciec i kula, w potrzebie kordelas, a przytem krew zimna, przytomność, umiejętna znajomość pola walki i natury zwierza — oto broń i przymioty rycerskiego myśliwca. Nie wielu takich mamy, jeden w tej chwili nasuwa się myśli naszej, nie wahamy się go wymienić, choćby tem skromność jego obrażoną została — jest nim Leopold hr. Starzeński. Sztuciec i kula — to jego hasło w zapasach ze zwierzem. Wiemy, iż w tym roku położył on celnymi strzałami kulą 44 zajęcy, 9 lisów, 5 rogaczy, dzika na 174, a jednego z rogaczy na 200 kroków. Zapewne zadziwi taka odległość i każe sądzić, że hr. Starzeński używa broni, za wielką cenę od najsławniejszego mistrza sprowadzonej. Jako znakomity myśliwy posiada on liczny zbiór broni różnorodnego systemu i rozmaitej wartości — używa wszakże sztućca, pochodzącego z pracowni T. Wiśniowieckiego we Lwowie, którego rusznikarskie wyroby, może bardziej, niestety, za granicą, jak u nas są należycie oceniane. *W. Z.*

Szepetówka (gub. Wołyńska) 18. Kwietnia 1878.

Przed dziesięciu dniami przyjechałem tu, i zastałem już raport o kilku osadzonych głuszcach. Toki tegoroczne bardzo są pomyślne i dobre w skutek pogody i ciepła. Rozpoczęły się w pierwszych dniach Kwietnia, przerwały się z powodu niepogodnych ranków, teraz zaś są najlepsze. Siedm ranków na tokach przepędziłem, i siedm też głuszców położyłem, nie spudłowawszy i nie spłoszywszy ani jednego. Jutro, jeżeli poczciwy nasz Hubert dopomoże, ósmego sobie doliczę. —

Ciąg słonek trwa nieustannie, onegdaj wieczorem cztery zabiłem.

Roman hr. Potocki.

Zaszczytnie prowadzone tam łowiectwo od dawna, gdzie tyle jeszcze znajduje się głuszców. Niedawno i w naszych lasach one były — dziś żyją ledwo w wspomnieniach starych myśliwych i szukać ich chyba w Karpatach lub w olbrzymich borach bukowińskich.

Niedźwiedzie i kozice w Tatrach. Opowiadanie niniejsze świadczy, iż największe z naszych zwierząt drapieżnych mieszka na wysokich szczytach gór, 1800 do 1900 metrów wysokości nad powierzchnią morza. W pewnym dniu czerwcowym miałem zamiar zarządzić naprawę dróg tatrzańskich. Przybyliśmy wcześnie na miejsce przeznaczone, a podczas gdy moi ludzie odpoczywali po trudach górskiego pochodu, przejęła mnie chęć, po długiej zimowej przerwie poszukać ulubionej mojej zwierzyny. Tem większą miałem nadzieję, znaleść ją swobodną i niepłoszoną, ile że nigdzie na śniegu nie było śladu stopy ludzkiej, któraby mogła zwierzynę zaniepokoić. Na szczytach „w ogrodzie kwiecistym“ już wiosna w pełni zawitała. Kryjąc się przezornie poza olbrzymimi głazami granitowymi, spostrzegłem w oddaleniu może 400 kroków ogromnego kozła, swobodnie się pasącego. Nieco dalej za nim stało pięć kóz, a jeszcze dalej kilka. Znać było po zwierzętach, że nikt tu ich jeszcze nie płoszył. Dochodzi 9ta godzina, pomyślałem, to kozioł według zwyczaju swego wkrótce szukać będzie ustronnego miejsca na spoczynek, a wtedy radbym bliższą z nim zabrać znajomość. Lecz cóż to? Kozioł się niepokoi, nagle poczyna wietrzyć, a reszta kozic zwróciła się w bok. Mnie nie mógł on widzieć ani zwietrzyć, gdyż wiatr na korzyść moją wiał od lasu. Wkrótce rozwiązaną była zagadka, gdy ujrzałem na prawo szybko przemykającego ogromnego niedźwiedzia. Teraz zrozumiałem, dla czego kozice nagle się zaniepokoiły, przeczuły one w tej ucieczce mysia dla siebie niebezpieczeństwo. Gdy bowiem na lewo w obec kozic byłem zakryty, spostrzegł mnie niedźwiedź z prawej strony, i nie bardzo czując się bezpiecznym, wyniósł się co rychlej Dobrze obmyślany plan operacyjny, któryby mógł borutę ku mnie napędzić, nie dał się wykonać, ponieważ bez pomocniczych narzędzi nie mogli ludzie moi przekroczyć lodowej skały, z poza której możliwe było przecięcie dalszej ucieczki niedźwiedziowi. Nimby owe potrzebne narzędzia sprowadzono, jużby też wszelka nadzieja powodzenia znikła. Jak później się przekonałem, pasł się tu ów niedźwiedź przez długi czas w miłej zgodzie z kozicami, toż gdy się jegomość wyniósł, to i one, niczego dobrego się nie spodziewając, pomknęły na cztery wiatry. — Pan K., któremu o tem opowiadałem, nadmienił, iż przed dwoma laty widział przemykające dwa niedźwiedzie z doliny Mengsdorf ku „czeskim jeziorom“, które to miejscowości o 300 do 400 metrów wyżej są położone, jak „kwiecisty ogród.“ *Sport-Zeitung.*

Wykaz zastrzelonej zwierzyny w roku 1877 w dobrach Ordynacyi Łańcuckiej.

	Użyteczna													Szkodliwa							
	Zwierzyna					Ptactwo								Zwierzyna				Ptactwo			
		Sarny																			
	Daniele	Rogacze	Kozy	Dziki	Zające	Bażanty	Kuropatwy	Przepiórki	Chruściele	Słonki	Dubelty	Kszyki	Kaczki	Wydry	Borsuki	Lisy	Rozmaita	Orły	Jastrzębie	Wrony, sroki i inne	Ogółem
W dobrach ordyn. dóbr Łańcut zastrzelono w roku 1877:	4	68	3	1	466	9	87	125	9	22	12	48	30	3	5	86	57	1	46	98	1180

Reichard,
Dyrektor lasów i łowiectwa.

Wykaz zwierzyny zastrzelonej w dobrach Wysockich Stefana hr. Zamoyskiego od 1. Lipca 1876 do 30. Czerwca 1877.

Rewir	Dziki	Wilki	Lisy	Rogacze	Zające	Bażanty	Kuropatwy	Przepiórki	Chruściele	Słonki	Dubelty	Kszyki	Ceranki	Kaczki	Kuliki	Psy	Koty	Łasice	Orły	Jastrzębie	Kruki, wrony sroki	Razem sztuk
Nowa grobla . .	–	1	5	5	70	–	11	17	15	9	–	4	6	24	–	5	2	–	–	12	–	186
na podjazdy . .		–	1	5	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–		–	–	–	–		6
Korzenica	–	–	2	1	70	–	–	6	4	3	–	5	–	6	–	4	1		1	9		112
na podjazdy . .		–	–	1	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	1
Maczugi	2	–	2	1	3	–	–	4	5	4	–	2	–	–	–	1	–	–	–	4	–	28
Moszczany . . .	2	3	1	1	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	–	3	–	–	–	3	–	13
Bobrówka	–	–	2	–	18	–	–	–	–	–	–	–		–	–	1	–		–	–	–	21
Zaleska wola . .	–	–	14	1	21	–	–	–	–	7	–	–		–	–	11	10	2	–	9	38	113
Górki	–	–	1	–	15	–	–	–	–	–	–			–	–	–	–	–	–	–	–	16
Na polach i łozach	–	–	7	1	214	17	141	433	11	2	9	66	11	18	14	27	26	4	2	83	164	1250
Razem . .	4	4	35	16	411	17	152	460	35	25	9	77	17	48	14	52	39	6	3	120	202	1746

Łysakowski, nadleśny.

Tabella ubitej w 1877/78 zwierzyny.

	Zwierzęta pożyteczne																						Szkodniki																
	Jelenie	Daniele	Kozice	Sarny	Dziki	Zające zwykłe	Zaj. alpejskie	Głuszec mn. tetrao medius	Głuszce	Cietrzewie	Jarząbki	Pardwy	Kuropatwy kamionki	Kuropatwy	Bażanty	Dzikie gęsi	Dzikie kaczki	Różne	Gołębie	Słonki	Bekasy	Przepiórki	Niedźwiedzie	Wilki	Wydry	Borsuki	Lisy	Kuny	Dzikie koty	Tchórze	Łasice	Różne	Sępy	Orły	Puhacze	Czaple	Jastrzębie	Różne	Summa
W dobrach ks. Schwarzenberga .	164	125	35	1109	169	21934	7	1	161	118	103	7	—	22723	1755	16	2457	806	30	195	10	-	—	—	22	4	358	244	—	108	414	3295	—	1	5	331	974	7751	65.431
W dobrach hr. Palffy	—	—	—	2	—	866		—	—	-	—	—	—	425	455	—	-	—	·	7	—	218	—	—	—		-	3	—	11	38	28	3	—	5	—	8	191	2484
W dobrach hr. A. Esterhazy'ego: Lanschütz, Hady	1	102	—	56	—	4272		—	-	-	—		-	1336	2991	—	2 6	--	-	43	—	239	—	—	—	—	18	36	-	271	583	522	73	2	324	—	452	2055	13.582
W dobrach Br. Prandau Valpo i Miholac	20	—	—	13	—	168	-	—	—		—	—	—	44	—	—	191	—	—	116	2	63	—	8	-	10	30	3	5	·	—	307	250	6		—	36	-	1885
W dobrach hr. Haugwitz Namiest, Ossowa w Morawii	30	61	—	35	20	2562	—	—	—	—	—		—	1247	198	—	227	—	37	37	1	173	-	-	2	-	10	21	-	72	333	3052	42	-	3	—	13	1883	10.382
W dobrach Marcheg i Plossenstein	110	—		24	10	6923	—	—		—	-		—	2508	1250	—	799	—	—	6	2	2047	--	—	—	—		—	—	—	—	1077	—		—	—	-	—	14 756
W dobrach C. Veith, Cernowice, Chwałkow, Hojowice	24	14	—	57	—	1154	-	—	2	12	—	-	—	1243	96	—	4	—	-	—	31	312	—	-	1	2	2	4	24	—	43	85	—	—	—	—	9	407	4303
W dobrach ks. Oettingen-Wallerstein Pernegg w Styryi	59	—	—	119	—	53		—	4	8	23	2	—	—	—	—	—	-	22	—	-	—	-	—	--	5	21	12	—	1	1	—	7	-	—	—	26	2	366
W dobrach Boskowitz w Morawii .	—	—	-	309	—	1606	-	—	—	—	-	—	—	420	7		-	490	49	45	—	—			-		12	18	-	29	--	-	-	—	8		—	1334	4327
W dobrach hr. Forgach Ghymes w Węgrzech	129	74	—	43	106	100	-	—	—	—	1	—	-	93	—		10	—	21	33	—	49	—	-		—	58	4	1	—	3	-		—	—	-	47	22	808
W dobrach hr. Mittrowskyego w Morawii	—	34	—	218	—	8800	—	—	-	-	8	—	-	4257	545		4	—	38	37	2	253		—	1	—	36	28	—	114	—	-	—	—	—	—	-	5335	19.710
W dobrach hr. Schoenborn-Buchheim w Węgrzech	110	2	—	163	19	1965	—	—	—	1	71	—	—	755	79	-	28	-	—	61	—	110	5	9	3	—	89	8	2	2	—	—	53	4	—	—	8	126	3871
W dobrach hr. Lichnowskyego z lat 1875, 1876, 1877	40	16	167	143	2	5037	—	—	127	15	113	16	2	2828	380	—	44	443	33	—	41	37		—	1	15	254	84	—	74	262	—	-	—	—	—	--	2237	15 575
W dobrach Br. Honricha, Kunstadt	15	7	—	88	1	1251	—	—	—	-	—	—	-	821	43	—	—	—	10	—	16	-	—	—	—	—	16	10	—	18	63	—	-	—	-	—	73	2020	3452
W dobrach hr. Schlicka Erwein .	—	47	—	71	-	5091	—	—	—	5	—	—	—	4422	1111	—	53	—	—	15	—	47	—	—	—	—	—	—	—	32	279	1451	—	—	18	1	248	1515	14.406
	702	482	202	2450	327	61.782	7	1	294	159	319	25	2	43.122	8910	16	4023	1739	240	545	105	3558	5	17	30	36	904	473	32	732	2024	9817	428	13	363	332	1894	24.878	170 972

W dniu 4. Marca b. r. we wsi Wólce mazowieckiej, w powiecie rawskim zdarzył się wypadek, mogący zająć myśliwych i przyrodoznawców. — Z leśniczówki, położonej tuż pod lasem, wypędziła dziewka trzodę chlewną do lasu. Gdy wieczorem zaganiała trzodę do domu, uderzyło ją, że *coś* wstrzymuje i miesza pochód *chudoby*. Przywołany leśniczy poznał, że sprawcą zamieszania był odyniec, który umizgając się lochom i rozpędzając knury i wieprze, zdołał rzeczywiście całą trzodę opodal leśniczówki zatrzymać. Leśniczy pobiegł do domu, i gdy wrócił ze strzelbą, nabitą lotkami, zuchwały dzik nie opuścił trzody — i padł wolno ustępując po piątym strzale leśniczego. — Odyniec był rosły, mógł liczyć 3 do 4 lat. *T. S.*

Świtarzow 25. Marca 1878.

W Waniowie, powiecie Sokalskim, zastrzelił d. 18. Marca p. E. M. cietrzewia na wieczornym toczku, w którego żołądku znaleziono 14 całkiem zdrowych żołędzi z łupą. Nie do wiary prawie, żeby ptak mógł to strawić. *T. K.*

Olejów d. 7. Kwietnia.

Szczególny ciąg ptaków w tej wiośnie — większa część tychże nadleciała, nawet *epops* (dudek) zawitał, a słonek nie ma. Kazałem codzień szukać, i pokazało się, że w każdym z trzech lasów było po jednej słonce. Pierwszy to wypadek wędrówki pojedyńczych ptaków. Zdaje mi się, że nocne przymrozki i północne wiatry wstrzymują ciąg.

Kazim. hr. Wodzicki.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

MAJ.

Łoś. Od połowy tego miesiąca klępa szuka bezpiecznego ustronia do wydania płodu. Zrzucanie rogów u najmłodszych łosiów czasem do początku tego miesiąca przeciąga się. Mięso samic jednorocznych jest w tym miesiącu najsmaczniejsze, wszelako od połowy miesiąca polowanie ustaje. Jeleń. Łania udaje się także na spokojne i bezpieczne miejsce dla wydania płodu. Najmłodsze rogacze w tym miesiącu dopiero zrzucają rogi. Łowne już zwykle strzelane bywają. Lizawki trzeba znowu odświeżyć, gdyż łanie przy zmienianiu farby (blakowaniu) starannie je teraz odwidzają, co ich przez całe lato utrzymuje i poprawia. Sarna. Stare samice zaczynają kocić się w spokojnych i bezpiecznych miejscach. Żywią się pączkami, ziołami, i odwidzają posiewy polne i lizawki. Przebywają na pobrzeżach lasu, gdzie są zdrowe źródła i zioła. Dzik. Maciory proszą się. Szukają korzeni i ziół. Młode pojedynki i maciory w stadach, w gęstwinie utrzymują się. Zające parkają się i kocą wciąż, a siedzą w polach ozimych, Wilczyca pomiata 4 do 8 młodych. Zwierzęta drapieżne wyżerają z gniazd młode ptaki. Wydra żywi się teraz rybami, żabami i rakami. Lis swe młode na łup wyprowadza. Lotna zwierzyna znajduje już wszędzie wyżywienie dla siebie. Głuszec, cietrzew, słonka, dzikie gołębie, lęgną się. Skowronki, czajki i inne pomniejsze ptaki, jak również wszystkie drapieżne wylęgają młode.

Lisy młode wykopuje się z jam, i wytępia się inne młode zwierzęta drapieżne, a szczególnie wilki. Wyszukiwać także i wyniszczać należy gniazda ptaków drapieżnych. Lizawki powinne być odświeżone, ażeby zwierz, który teraz lenieje, nie cierpiał w tem niedostatku. Wszelkie polowanie jest wzbronione — tylko przepiórki wolno łapać. Na ptaszników, pasterzy i chłopców baczne mieć oko należy, aby ptactwa nie wyłapywali i gniazd nie wybierali. Z młodych wilków, nie starszych nad dni 14, bywają dobre futra.

OGŁOSZENIA.

Pismo nasze zawdzięcza dotychczasowe powodzenie głównie współdziałaniu czytelników, którzy z ochoczą gotowością je wspierali. Mamy nadzieję, iż tej dzielnej pomocy nie będziemy pozbawieni w porze, w której uwaga czytelników „Łowca“ mniej ku łowiectwu jest skierowana.

Z nad Ropy. Korespondencyę wprawnem piórem pisaną chętnie umieścimy, gdy sz. autor jej pozwoli opuścić ustępy zbyt drastyczne, narażające redakcyę na polemikę, której uniknąć pragnie.

K. w Dorze. Nader ciekawą wiadomość o niedźwiedziu brunatnym, możemy umieścić dopiero w następnym numerze. Prosimy o dalsze zasilanie naszego Pisma tyle ciekawemi i umiejętnie kreślonemi wiadomościami.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.
Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.